

Barbara Cartland

Pojedynek z przeznaczeniem

Duel with destiny



Od Autorki

Wielkie przyjęcie wydane 1 sierpnia 1815 roku w Carlton House przez księcia regenta jako osobisty hołd dla księcia Wellingtona rzeczywiście odbyło się, tak samo jak zabawy publiczne zorganizowane w londyńskich parkach.

Ustawa rejestracyjna z 1836 roku wprowadziła obowiązek rejestrowania wszystkich urodzeń, ślubów i zgonów. Od tej pory drzewo genealogiczne posiadają nie tylko szlachetnie urodzeni.

Archiwa państwowe mogą korzystać z Public Records Office przy Chancery Lane w Londynie, gdzie przechowywane są takie historyczne dokumenty jak Domesday Book (Domesday Book - Urzędowy Rejestr Gruntów i Budynków (przyp. tłum.)) (1086 - 87) i Magna Carta (Magna Carta - Wielka Karta Swobód przyznana baronom w 1215 r. przez Jana bez Ziemi (przyp. tłum.)) (1215).

W Stanach Zjednoczonych Ameryki zainteresowanie genealogią sięga czasów wczesnego osadnictwa brytyjskiego. Pierwsze rody w Wirginii ukonstytuowały się jako autokracja plantatorów i zaczęły używać herbów.

Rozdział 1

1815

Rowena usłyszała pukanie do drzwi frontowych i odłożyła na bok cerowaną właśnie skarpetę. Wiedziała, iż stara Hansen nie ruszy się z kuchni. Postępująca głuchota stanowiła dla niej wygodną wymówkę, aby nie robić tego, na co nie miała ochoty.

Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe i Rowena idąc w stronę drzwi pomyślała, że pewnie chodzi o któregoś z pacjentów ojca. Być może wzywano doktora do rodzącej albo do kogoś z pobliskiej farmy, kto uległ wypadkowi.

Kiedy minęła maleńki hall i otworzyła drzwi wejściowe, ze zdumieniem ujrzała czterech mężczyzn niosących kogoś na zdjętej z zawiasów furtce.

- Co się stało? - zapytała.

- Pan doktor kazał nam tu przynieść tego dżentelmena - odezwał się jeden z mężczyzn.

Rowena krytycznie spojrzała na wystające metalowe elementy prowizorycznych noszy.

- Nie przejdziecie z tym przez drzwi - zauważyła. - A już z pewnością nie dacie rady wejść po schodach. Musicie wnieść tego człowieka na rękach.

- A nie mówiłem! - z satysfakcją zawołał któryś z mężczyzn.

Wszyscy byli mieszkańcami pobliskiej wioski i Rowena doskonale ich znała.

- Co się stało, Abe? - zwróciła się do najstarszego.

- Wypadek na skrzyżowaniu, miss Roweno, bardzo groźny wypadek!

Kiedy mężczyźni postawili prowizoryczne nosze na ziemi, Rowena zauważyła leżącego na nich człowieka ubranego z wyszukaną elegancją. Szczególną uwagę zwracał misternie przewiązany biały fular i lśniące buty z cholewami. Rzucił się

również w oczy jego słuszny wzrost oraz atletyczna budowa ciała.

- Woźnica dyliżansu znowu za dużo wypił - powiedział jeden z mężczyzn.

- To przez takich jak on mamy tyle wypadków - dodał inny.

- Ilu jest rannych? - zapytała Rowena.

- Tylko ten dżentelmen - odrzekł Abe. - Pasażerowie dyliżansu byli w szoku, krzyczeli i płakali, ale zaraz zajął się nimi pan doktor.

Jakie to szczęście, pomyślała Rowena, że jej ojciec tam był. Przypomniała sobie, że został wezwany do chorego w pobliskiej wiosce, a następnie do jednej z odległych farm. Wyglądało na to, iż w chwili wypadku znalazł się w pobliżu skrzyżowania.

Mężczyźni podnieśli rannego. Chyba był bardzo ciężki, wskazywały na to napięte mięśnie i ogromny wysiłek niosących, malujący się na ich twarzach. Powoli wnieśli go do środka, po czym zaczęli wspinać się po wąskich schodach.

Na górze była wolna sypialnia, należąca kiedyś do jej matki, i tam Rowena mogła położyć rannego. Pokój sprawiał wrażenie przytulnego, a nieduże wykuszowe okno wychodziło na ogród z tyłu domu.

Rowena pospiesznie odsłoniła żaluzje i przygotowała łóżko. Ostatnio leżała tu pewna kobieta, która pośliznęła się na oblodzonej drodze i złamała nogę. Spędziła w ich domu trzy tygodnie, lecz nie zapłaciła im ani grosza za opiekę.

„Przynajmniej ten pacjent wygląda na zamożnego” - pomyślała Rowena. Zdawała sobie jednak sprawę, iż jeśli mają uzyskać od niego jakieś pieniądze, ona będzie musiała tego przypilnować. Ojcu nigdy by nie przyszło do głowy zażądać zapłaty za swoje usługi.

Tymczasem mężczyźni wnieśli rannego do sypialni i położyli na łóżku. Chociaż na czole nieznajomego widniało duże rozcięcie, które przez cały czas obficie krwawiło, nie można było nie zauważyć niezwyklej jego urody. Oczy miał wciąż zamknięte i Rowena pomyślała, że musiał odnieść jakieś poważniejsze obrażenia, które spowodowały tak długie omdlenie.

- Czy możemy w czymś jeszcze pomóc, miss Roweno? - zapytał Abe.

- Oczywiście - szybko odrzekła Rowena. - Rozbierzcie tego dżentelmena i połóżcie go do łóżka. Mogę liczyć jedynie na pomoc pani Hansen, a doktor, jak przyjdzie, będzie musiał natychmiast przystąpić do badania.

Mężczyźni niepewnie spojrzeli na bezwładne ciało rannego, jakby się obawiali, że w każdej chwili ranny może się ocknąć i zwymyślać ich za zbytnią poufałość.

- Tylko zróbcie to delikatnie - upomniała ich dziewczyna.
- Za chwilę przyniosę nocną koszulę mojego ojca.

Mówiąc to szybko wyszła z pokoju. Z doświadczenia wiedziała, jak trudno rozebrać tak potężnego mężczyznę, szczególnie gdy jest nieprzytomny. Tym razem dodatkowym utrudnieniem był elegancki, bardzo obcisły strój.

Rowena weszła do sypialni ojca, po czym wysunęła szufladę bielizniarki i już miała sięgnąć po koszulę leżącą na samym wierzchu, ale nagle zmieniła zamiar i wybrała najlepszą - elegancką jedwabną koszulę, którą jej matka uszyła dla ojca parę lat temu na jakąś specjalną okazję.

- Zawsze marzyłam, aby ojciec mógł sobie pozwolić na noszenie wytwornych koszul - z uśmiechem powiedziała do córki, która z podziwem przyglądała się misternym ściegom.

- Myślałam, że to kobieta przywiązuje wagę do pięknych strojów, a nie mężczyzna - z przekorą zauważyła Rowena.

Matka roześmiała się.

- Nie sędę, aby mój ubiór miał dla ojca jakiegokolwiek znaczenie. On mnie po prostu kocha taką, jaka jestem. To ja pragnę dla niego wszystkiego, co najlepsze.

Rowena wiedziała, że to prawda, chociaż zdawała sobie sprawę, jak trudno było zwiázac koniec z końcem, kiedy się miało czwórkę dzieci. I wcale nie jedwabne koszule ojca spędzały matce sen z powiek, ale kupno obuwia dla Marka, pończoch dla Hermiony czy sukienki dla Lotty.

Rowena pamiętała, że zawsze były problemy z wyżywieniem i ubraniem ich licznej rodziny. Czasami denerwowało ją, iż ojciec bez reszty poświęcił się swojej profesji i że szczęśliwy był tylko wtedy, gdy mógł nieść pomoc innym ludziom, często nie zdając sobie sprawy, ile wyrzeczeń kosztuje to jego bliskich.

- Czy wiesz - zwróciła się do ojca nie dalej jak tydzień temu - że Bostock jeszcze nie przysłał ci pieniędzy, a operowałaś mu rękę jeszcze w ubiegłym roku?

- Ostatnio Bostockom nie wiedzie się najlepiej - odrzekł wtedy jej ojciec. - Z pewnością ureguluje należność, kiedy tylko będzie mógł.

- Jak my damy sobie radę, skoro nikt nie chce ci płacić? - gniewnie zawołała Rowena.

Ale doktor zdawał się nie słyszeć jej słów i Rowena nie miała wątpliwości, iż nawet gdyby Bostock czy któryś z innych pacjentów ojca jakimś cudem zapłacił za leczenie, to i tak pieniądze te poszłyby na mleko dla chorych dzieci lub na lekarstwa dla jakiegoś biedaka, który nie jest w stanie sam ich wykupić.

- Zobacę pieniądze, a jeśli nie, to następnym razem nie ruszę nawet palcem - przyrzekła sobie Rowena pukając do drzwi gościnnego pokoju.

Nie odczuwała zażenowania na widok rozebranego mężczyzny. Często asystowała ojcu, kiedy chory przychodził

na wizytę sam i trzeba było pomóc mu się rozebrać. Wiedziała jednak, że Abe i pozostali wieśniacy byliby z pewnością zaszokowani, gdyby odważyła się spojrzeć na chorego, zanim ten znajdzie się w pościeli. Podała więc tylko koszulę przez uchylone drzwi, po czym zeszła do kuchni po ciepłą wodę, ręczniki i bandaże.

- Przynieśli rannego mężczyznę z wypadku, pani Hansen - powiedziała do starej służącej pochylonej nad płytą kuchenną.

- Co takiego, panienko? - zapytała staruszka, która miała kłopoty ze słuchem i wszystko trzeba jej było dwa razy powtarzać. - Nowy pacjent! - zawołała ze złością gdy wreszcie zrozumiała, o co chodzi.

Dla służącej wiązało się to z dodatkową pracą i dziewczyna, aby ją nieco ułagodzić, szybko dodała:

- Wygląda na zamożnego, a więc pewnie szybko go zabiorą do domu. Zanim papa zdąży go zbadać, z pewnością zjawi się po niego powóz. Nie martwmy się na zapas.

- Jakby za mało było pracy w tym domu - gderła stara Hansen.

- Nie sędzę, aby nasz gość był głodny - spokojnie powiedziała Rowena.

Wyjęła porcelanową miskę i nalała do dzbanka ciepłej wody ze stojącego na kuchni garnka, następnie podeszła do szafki, aby wyjąć bandaże i lniane ręczniki. Już miała iść na górę, kiedy na schodach pojawili się wieśniacy.

- Położyliśmy go do łóżka, panienko - odezwał się Abe. - Nawet mu powieka nie drgnęła! Kiedy doktor wróci, niewiele już będzie mógł zrobić.

Abe mówił to z takim upodobaniem, iż Rowena nie miała wątpliwości, że bardzo mu odpowiadała rola, jaka mu przypadła w udziale.

- Dziękuję wam bardzo - powiedziała Rowena, zwracając się do całej czwórki. - Ale mam dziwne przeczucie, że nasz pacjent przeżyje. Ręce mojego ojca niejednego cudu już dokonały.

- To prawda, panienko - przyznał Abe. - Doktor to prawdziwy cudotwórca! Tak mówi moja stara. Ona również dzięki pani ojcu uciekła grabarzowi spod łopaty!

- Wielu ludzi tak mówi - śmiejąc się potwierdziła Rowena.

Mężczyzna otworzył frontowe drzwi.

- Jeśli będzie czegoś trzeba, panienko, wystarczy nas zawołać. Teraz musimy iść i uprzątnąć ten cały śmietnik na krzyżówce. Może nie trzeba już będzie nikogo tu przynosić.

- Nie mamy więcej wolnych pokoi - pospiesznie dodała Rowena. - Powtórzcie to mojemu ojcu, kiedy go zobaczycie, i powiedzcie, aby jak najszybciej wracał do domu.

- Powiemy, panienko.

Mężczyźni pożegnali się uniesieniem i kiedy drzwi zamknęły się za nimi, Rowena ruszyła schodami w górę. Kiedy weszła do pokoju, nieprzytomny mężczyzna leżał na wznak, a jego ubranie rzucone było na oparcie stojącego tuż przy kominku krzesła. Rowena postawiła miskę przy łóżku i nalała do niej trochę wody z dzbanka, po czym pochyliła się nad rannym, aby obejrzeć rozcięcie na czole. Krew cały czas się sączyła, ale kiedy Rowena obmyła ranę ciepłą wodą, przekonała się, iż chociaż wygląda paskudnie, nie jest zbyt głęboka.

Pomyślała, że musiał odnieść jakieś wewnętrzne obrażenia, i zaczęła delikatnie wycierać ręcznikiem twarz mężczyzny. "Wydał się jej jeszcze bardziej interesujący: mógł mieć około trzydziestu lat, rzucały się w oczy jego arystokratyczne rysy twarzy, silnie zarysowana szczęka i zacięte usta, świadczące na ogół o silnej osobowości.

„Z pewnością musi być kimś ważnym” - powiedziała sobie. Zauważyła, że miał długie, wąskie palce. Na jednym lśnił sygnet z wygrawerowanym monogramem. Rowena pomyślała, że w tej chwili nie pozostaje jej nic innego, jak czekać na powrót ojca, i machinalnie zaczęła układać ubranie bezładnie rzucone na krzesło. Zwróciła uwagę na znakomity gatunek materiału, z którego uszyty był kostium do konnej jazdy. W wewnętrznej kieszeni marynarki zauważyła portfel. Ostrożnie go wyjęła i kładąc na toalecie zauważyła, że jest pełen banknotów, lecz odrzuciła pokusę, aby do niego zajrzeć. Następnie wzięła do ręki obcisłe popielate pantalony i słysząc brzęk monet, wyjęła je z kieszeni, by położyć obok portfela.

„Ten przynajmniej ma pieniądze - pomyślała z ulgą. - Na pewno nie wyjedzie bez uregulowania rachunku”. Spojrzała na eleganckie buty z cholewami całkowicie pokryte teraz kurzem.

Rowena z niepokojem pomyślała o koniach. Nie tak dawno pędzące z dużą szybkością wierzchowce odniosły przy kolizji takie obrażenia, że trzeba je było dobić.

Zastanawiała się, czy ranny mężczyzna mógł spowodować wypadek. Wyglądał na dobrego jeźdźcę. Wszystko wskazywało raczej na to, że winę ponosił człowiek prowadzący dyliżans. Abe wspominał, że woźnica był pijany. Ostatnio zbyt często zdarza się, że powozami kierują nietrzeźwi ludzie, którzy nie potrafią zapanować nad końmi. Jednocześnie Rowena podejrzewała, że ranny nieznajomy rozwinął na drodze dużą szybkość. Nie wyglądał na człowieka lubiącego spokojną jazdę. Być może zbyt szybko chciał dotrzeć do celu, i to właśnie stało się przyczyną nieszczęścia.

Rowena rozejrzała się po pokoju, jakby chciała się przekonać, czy wszystko jest już na swoim miejscu, i wtedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi frontowych. Kiedy zbiegała po schodach, ojciec wchodził właśnie do hallu.

- Tatusiu! - zawołała. - Nareszcie jesteście!
 - Witaj, Roweno! Abe powiedział mi, że nasz pacjent leży już w łóżku.
 - Zrobiliśmy, co było możliwe. Teraz na ciebie kolej, tatusiu. Czy to bardzo groźny wypadek?
 - Mogło być znacznie gorzej - odrzekł doktor Winsford, kierując się w stronę schodów.
 - Co się właściwie stało?
 - Woźnica dyliżansu na zakręcie zanadto zjechał na lewą stronę. To była wyłącznie jego wina i tylko dzięki wyjątkowej zręczności kierującego powozem, który zbliżał się z przeciwnej strony, nie doszło do czołowego zderzenia.
 - Podejrzewałam, że to była wina woźnicy dyliżansu.
 - Pan Bóg najwidoczniej czuwa nad pijakami i głupcami, ponieważ sprawcy wypadku nic się nie stało - gniewnie powiedział doktor. - Ale powóz tego nieszczęśnika wywrócił się i człowiek ten dostał się pod koła.
 - Czy jest z nim bardzo źle, tatusiu?
 - Nic nie mogę powiedzieć, dopóki go nie zbadam - odrzekł doktor. - Czy możesz mi przynieść trochę ciepłej wody?
 - Jest już na górze, tatusiu. Zmyłam krew z jego twarzy. Rana na czole nie wygląda tak źle.
 - Obawiam się, że obrażenia wewnętrzne mogą być poważne - odparł doktor. - Przygotowałaś bandaż?
 - Tak. Wszystko już zaniiosłam.
- Doktor Winsford wszedł do pokoju i spojrzawszy na leżącego na łóżku mężczyznę, z uznaniem powiedział:
- Widzę, że pacjent jest już przebrany. Dobrze się spisałaś, Roweno! Te dziesiątki otarć, stłuczeń i rozbitych nosów zajęły mi tyle czasu. - Przeszedł przez pokój i umył starannie ręce w misce stojącej na umywalce.

- Czy jeszcze czegoś potrzebujesz, tatusiu? - zapytała Rowena.

- To chyba wszystko - machinalnie odpowiedział doktor. Wycierając ręce cały czas patrzył na leżącego na łóżku pacjenta. Rowena nie miała wątpliwości, że w tej chwili nic więcej go już nie interesuje.

- Przyniosę ci filiżankę herbaty - oświadczyła Rowena. - Zawołaj, jeśli ci będę potrzebna.

Zbiegła po schodach, szczęśliwa, że może coś zrobić dla ojca. Doskonale wiedziała, jak takie wypadki potrafią wytrącić go z równowagi. W opinii okolicznych mieszkańców nadzwyczajna wrażliwość doktora na cierpienia innych ludzi dawała mu cudowną moc ich uzdrawiania.

Rowena wyobraziła sobie krzyki podróżujących dyliżansem kobiet i dzieci, rzenie rozszalałych koni i rannych ludzi leżących wśród porzucanych bagaży. Pomyślała, że jej ojciec, podobnie jak ona, szczególnie mocno przeżywa cierpienia zwierząt. Ten ranny dżentelmen z pewnością powoził wspaniałymi końmi. Modliła się więc o to, aby złamany dyszel nie przebił czasem żadnego z nich lub nie oślepił, jak to się stało w wyniku niedawnej kolizji w sąsiedniej wiosce.

- Czy doktor już wrócił? - zapytała pani Hansen, kiedy Rowena weszła do kuchni.

- Tak. Jest na górze z pacjentem.

- Miałam mu powtórzyć, panienko, że pani Carstairs byłaby wdzięczna, gdyby doktor ją dzisiaj odwiedził.

- Nie będzie miał na to czasu - zaprotestowała Rowena. - Wie pani równie dobrze jak ja, że pani Carstairs potrzebuje jedynie, aby ktoś wysłuchał jej narzekań na syna. Ona jest zupełnie zdrowa i tatuś marnuje jedynie przez nią czas, ale jest zbyt taktowny, aby jej to powiedzieć.

- Ja tylko przekazuję to, o co mnie proszono - usprawiedliwiała się pani Hansen.

- Tak, wiem - wtrąciła Rowena. - Ale uważam, że nawet nie trzeba mu o tym powtarzać.

Pani Carstairs była po prostu jedną z wielu osób, które wykorzystywały dobroć ojca. Doktor Winsford dla okolicznych mieszkańców był nie tylko lekarzem, ale również ich powiernikiem czy nawet ojcem duchowym i Rowena czasami drażniła się z nim, twierdząc iż jest dla nich wyrocznią.

- Nie ma takiej rzeczy, której byś dla nich nie zrobił - często powtarzała. - Najwyższy czas, aby ten próżniak, pastor, zdjął z ciebie trochę obowiązków.

- Ufają mi - cierpliwie tłumaczył jej ojciec. - I nie mogę ich zawieść.

Kiedy szła na górę, niosąc tacę z herbatą, pomyślała, że teraz, kiedy jej matka umarła, ojciec jeszcze bardziej poświęcił się pracy. Wiedziała, że to ucieczka przed wspomnieniami o ukochanej żonie, którą tak nagle stracił, i lekarstwo na bolesną pustkę, której nawet dzieci nie były w stanie zappełnić. Wiedziała również, że ojciec jest z niej zadowolony i że polega na niej. Jednak nie miała nawet cienia wątpliwości, iż nikt, choćby nie wiem jak się o to starał, nigdy nie zajmie miejsca jej matki. Była po prostu radością jego życia, która zgasła wraz z nią.

Śmierć do ich domu przyszła zupełnie nieoczekiwanie i zdawała się taka bezsensowna. Nastąpiła surowa, mroźna zima i jej matka przeziębila się. Pomimo stosowania domowych środków, dokuczliwy kaszel wciąż dawał się jej we znaki. Nie stać ich było na zakupienie dostatecznej ilości węgla, by ogrzać dom, i nie zawsze było co jeść.

Rowena zbyt późno się zorientowała, że często matka odejmowała sobie od ust, aby mąż i dzieci nie chodzili głodni.

A tymczasem jej kaszel stawał się coraz bardziej uciążliwy, aż wreszcie wywiązało się zapalenie płuc i matka nagle zgasła, pozostawiając pogrążoną w rozpacz rodzinę.

- Gdyby każdy uczciwie płacił, mama by nie umarła - z goryczą zauważyła Rowena po pogrzebie.

Ojciec nic na to nie odpowiedział i Rowena więcej do tego tematu nie wracała. Solennie jednak sobie obiecała, że już nigdy nie pozwoli, aby którykolwiek z pacjentów odszedł nie zapłaciwszy za leczenie.

Lokalni notable zaczęli dostawać listy, w których przypominała, jakie usługi świadczył im jej ojciec i jakie są ich z tego tytułu zobowiązania. Jednocześnie prosiła o jak najszybsze uregulowanie należności. Kiedy to nie pomagało, zjawiała się w domu dłużnika osobiście.

- Muszę przyznać, panno Winsford - kwaśno oznajmiła kiedyś żona rzeźnika - że pani ojciec dotychczas nigdy nas tak nie nękał.

- I dlatego, pani Pitt, często byliśmy głodni - spokojnie zauważyła Rowena.

- Nie mogę wprost w to uwierzyć?!

- Już od tygodnia nie zamawiamy mięsa u pani męża - cierpko dodała Rowena. - Po prostu nie stać nas na to.

Pani Pitt szybko uregulowała rachunek. Kilku innych dobrze sytuowanych mieszkańców Little Powick zachowało się podobnie. Jednak niektórzy pacjenci ojca byli tak biedni, że nie miała sumienia zwracać się do nich o pieniądze.

Niestety im właśnie doktor Winsford poświęcał większość czasu. Był to z jego strony prawdziwy akt miłosierdzia, ale Rowena czasami, gdy przeglądała swoją zniszczoną garderobę lub szyła ubrania dla młodszego rodzeństwa, z goryczą myślała, że dla swojej rodziny wcale nie jest miłosierny.

Rowena otworzyła drzwi sypialni i wniosła tacę z herbatą. Doktor Winsford stał przy łóżku chorego. Rękawy od koszuli

miął podwinięte, ale skończył już najwyraźniej badanie, ponieważ pacjent był starannie okryty.

- Oto herbata, tatusiu.

- Dziękuję - machinalnie odrzekł doktor.

- Źle z nim? - zapytała Rowena.

- Nie najlepiej - przyznał doktor. - Obawiam się, że ma połamane żebra. Poza tym na brzuchu wystąpiły intensywne zasinienia. Ale trudno mi jeszcze powiedzieć, jakie są urazy wewnętrzne.

- Czy wiesz, kim on jest?

- Tak. Jego służący mi powiedział: to markiz Swayne.

- Markiz Swayne? - ze zdumieniem powtórzyła Rowena. - Czy to on mieszka w Swayneling Park w tym imponującym domu w pobliżu Hatfield?

- Zgadza się - odrzekł doktor Winsford.

- Co zamierzasz z nim zrobić? - dopytywała Rowena.

- Jego służący, który nie odniósł żadnych obrażeń, pojechał do domu, aby powiadomić o wypadku. Spodziewam się, że sekretarz markiza natychmiast się z nami skontaktuje. Jednak jestem zdania, iż rannego nie wolno ruszać, dopóki go nie zbada specjalista.

- Specjalista?! - wykrzyknęła Rowena. - Gdzie my tu znajdziemy specjalistę?

- Z pewnością poślą po niego do Londynu - powiedział doktor. - Gdy w grę wchodzi zdrowie markiza, nie ma wątpliwości, że się o to postarają. - Uśmiechnął się do córki i nagle jego pociągła twarz pojaśniała.

Doktor był niegdyś wyjątkowo przystojnym mężczyzną i ci, którzy go znali w młodości, wcale nie byli zdziwieni, że ma takie ładne dzieci.

- Nie martw się, kochanie - ciągnął doktor Winsford. - Jestem pewien, że szanowny pan markiz nie zabawi u nas zbyt

długo. A jeśli mam być szczerzy, im szybciej znajdzie się w odpowiednich rękach, tym dla niego lepiej.

- Nie sądzę, abyś w tym wypadku miał rację, tatusiu - zauważyła Rowena. - Wiesz równie dobrze jak ja, że masz w palcach coś, co starsze kobiety nazywają „mocą uzdrawiania”, i że żaden specjalista nie jest w stanie zrobić więcej niż ty.

- Chciałbym, aby tak było - odrzekł doktor. - Ale doskonale wiem, że są sprawy, które zależą nie tylko ode mnie.

Markiz leżał z zamkniętymi oczami, usiłując przypomnieć sobie, skąd się tu wziął. Był bardzo osłabiony, ale mgła, która dotąd spowijała jego głowę i nie pozwalała się skupić, jakby ustąpiła. Podświadomie od dłuższego czasu wyczuwał w pokoju czyjąś obecność. Siedział tu ktoś, kto zachowywał się bardzo cicho, ale w pewnej chwili markiz poczuł, jak delikatnie unosi jego głowę i przystawia do ust filiżankę z jakimś płynem.

- Proszę spróbować trochę wypić - odezwał się łagodny głos.

Niemal automatycznie poddał się jego urokowi, mając świadomość, iż czynił tak już wielokrotnie. Płyn był słodki i bardzo smaczny. Markiz, czując pragnienie, upił jeszcze odrobinę.

- To dobry znak - z aprobatą odezwał się głos. - Teraz proszę znowu zasnąć. Później przyniosę panu trochę bulionu.

- Czy ja też dostanę bulionu? - zapytał inny głos, który według markiza musiał należeć do dziecka.

- Lotty, ile razy mam ci powtarzać, że nie wolno ci wchodzić do tego pokoju? - gniewnie zareagował pierwszy głos.

- Ale ja chcę na niego popatrzeć - prowokacyjnie zawołała Lotty. - Hermiona mówi, że on wygląda jak pokonany gladiator. Chyba się w nim zakochała!

- Nie powinnaś powtarzać takich bzdur! Zejdź natychmiast na dół i zapamiętaj, że ani tobie, ani Hermionie nie wolno tu więcej wchodzić. Zrozumiałaś?

- Jesteś straszną egoistką Roweno. Chcesz go mieć wyłącznie dla siebie - zaprotestowała Lotty. - My także chcemy na niego popatrzeć.

- Wyjdź stąd natychmiast! - rozkazała siostra. Zaraz potem rozległ się tupot nóg po schodach i Rowena przeszła przez pokój, aby zamknąć drzwi.

Markiz, jakby w obawie, iż zbyt gwałtowny ruch przyprawi go o ponowny ból głowy, powoli otworzył oczy. Tak jak przypuszczał, był w obcym pokoju i leżał w obcym łóżku. Przy umywalce stała jakaś smukła, młoda kobieta i myła filiżankę, w której niedawno podawała mu coś do picia. Była do niego odwrócona tyłem i markiz, pamiętając łagodny timbre jej głosu i delikatny dotyk rąk, nie mógł się doczekać, aby ujrzeć jej twarz.

Nieznajoma wytarła filiżankę i starając się nie robić hałasu, postawiła ją na spodeczku, po czym powiesiła ściereczkę na wieszaku i odwróciła się do chorego. Markiz był pewien, że rozpozna jej głos. Jednak to, co ujrzał, zupełnie go zaskoczyło. Przez chwilę patrzył w oszołomieniu, jakby nie wierzył własnym oczom.

W pobliżu jego łóżka stała dziewczyna o tak wspaniałej urodzie, jakiej już dawno nie widział. Była zamyślona, a jej ogromne oczy, które zdawały się wypełniać całą jej niezwykle drobną twarz, sprawiały wrażenie nieobecnych. Kiedy wyciągnęła ręce, aby poprawić prześcieradło, i zorientowała się, że chory patrzy na nią, znieruchomiała.

- Obudził się pan? - zapytała, po czym nie czekając na odpowiedź, szybko dodała: - Proszę nic nie mówić. Długo był pan nieprzytomny, ale jak mi się zdaje, to już minęło. Jest pan w dobrych rękach.

Jednak markiz, jakby na przekór jej ostrzeżeniom, usiłował wydobyć z siebie głos, ale zabrzmiał on obco i chrapliwie.

- Gdzie... jestem?

- Jest pan w Little Powick, miał tu pan wypadek. - Rowena umilkła, jakby chciała dać mu czas na oswojenie się z tą wiadomością, po czym dodała: - Nikt oprócz pana nie odniósł ran. Pańskie konie również w żaden sposób nie ucierpiały.

- Miło mi... to słyszeć, ale... kim ty... jesteś?

- Jestem córką doktora i nazywam się Rowena Winsford.

- Doktor... Winsford? - powtórzył markiz, jakby chciał sobie przypomnieć, czy zna to nazwisko.

Rowena uśmiechnęła się.

- Nie mógł pan o nas słyszeć - zauważyła. - Ale uspokoję pana, że pański lekarz, sir George Seymour, został sprowadzony z Londynu, aby pana zbadać. Nie stwierdził poważnych obrażeń, ale jednocześnie kategorycznie zabronił ruszać pana z miejsca. - Rowena widząc, że markiz przymknął oczy, jakby nagle poczuł się znużony, łagodnym głosem powiedziała: - Proszę teraz zasnąć. Nie ma żadnych powodów do obaw. Za kilka dni będzie się pan czuł na tyle dobrze, aby powrócić do domu.

Markiz z wysiłkiem podniósł się w łóżku i krytycznym wzrokiem obrzucił ustawioną tuż przed nim tacę.

- Nie lubię mięsa z gołębi! - oświadczył.

- Obawiam się, iż nie ma pan wyboru - zauważyła Rowena. - Kurczęta są drogie, a wołowinę jadł pan wczoraj.

- Jeśli on tego nie chce, mogę mu oddać moją zapiekankę - dobiegł ich głos zza drzwi. - Uwielbiam gołębie, Hermiona również.

Markiz odwrócił głowę w stronę, skąd dobiegał głos, i dostrzegł dobrze mu już znaną Lotty, która patrzyła na niego błagalnie.

Jasnowłosa dziewczynka o ogromnych oczach była wierną repliką swojej starszej siostry. Ale podczas gdy twarz Roweny była pociągła, jakby chciała harmonizować z wiotkością jej figury, twarzyczka Lotty - okrągła, pulchniutka i otoczona kaskadą loków - przypominała markizowi rzeźbę cherubinka z bawarskiego kościoła.

Ten mały epizod niczego jednak nie rozstrzygnął.

- Dlaczego kurczęta są za drogie? - nie dawał za wygraną markiz.

- Po prostu nie stać nas na nie, milordzie - odparła Rowena.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie pokrywam kosztów swojego utrzymania? - ponownie zapytał chory.

- Był pan w takim stanie, iż nie mogłam prosić pana o pieniądze - wyjaśniła Rowena.

- Dlaczego więc nie zwróciłaś się do mojego sekretarza? Często tu przecież przyjeżdża.

- Nie pomyślałam o tym - wyznała Rowena.

- Dlaczego, do diabła, sam na to nie wpadł? - poirytowanym głosem odezwał się markiz.

- Przywiózł panu trochę owoców, których nie bylibyśmy w stanie kupić, oraz pana ulubione wino, na które papa nie wyraził zgody, bo z pana głową było jeszcze niezupełnie dobrze.

- Przypuszczam, iż mojemu sekretarzowi nigdy nie przyszło na myśl, że możecie mieć takie problemy - usiłował go usprawiedliwić markiz. - Tak czy owak, mam przy sobie trochę pieniędzy.

- Włożyłam je do szuflady, milordzie.

- Proszę mi je podać.

- Jedzenie panu wystygnie - zauważyła. - Proponuję, aby najpierw tym się pan zajął.

Markiz zerknął na Lotty.

- Wolę już chyba tę zapiekankę.

- Przyniosę ją panu. Już po nią biegnę! - zawołała Lotty.

- Zaczekaj! - usiłowała ją powstrzymać Rowena, ale jej mała siostrzyczka była już na schodach.

- Jeśli będzie pan ingerował w moje sprawy - oświadczyła Rowena - będę zmuszona odesłać pana do domu, bez względu na to, co o tym pomyślą doktorzy!

- Nie pozwolę się dłużej terroryzować - odparł markiz. - Zostanę tu tak długo, jak uznam to za konieczne, i dobrze wiesz, że twój ojciec nie zechce się mnie pozbyć!

- Mój ojciec ma wielu pacjentów!

- Ale ja jestem najważniejszy! - odrzekł markiz z uśmiechem.

- Jest pan wyjątkowo zarozumiały - powiedziała Rowena.

- Gdy w grę wchodzi cierpienie, dla mojego ojca wszyscy są równi.

- Ale, jak się sama przekonałaś, tylko nieliczni są w stanie płacić - z satysfakcją zauważył markiz.

Rowena milczała, zaciskając usta, aby nie powiedzieć czegoś, czego mogłaby pożałować. Przekonała się, że od kiedy ten człowiek poczuł się lepiej, stał się wyjątkowo nieznośny. Często prowokował ją w sposób dla niej szczególnie irytujący, ponieważ czuła, że podkopuje jej autorytet.

Słyszając kroki wracającej siostry, Rowena pomyślała, iż jeszcze tydzień temu Lotty nie ośmieliłaby się grymasić przy zapiekance. Teraz przyniosła ją do pokoju i uszczęśliwiona podała talerz markizowi.

- Dziękuję ci - rzekł markiz. - Wygląda bardzo apetycznie.

- Czy mogę już zabrać gołąbka? - zapytała zdyszana dziewczynka.

- Oczywiście!

Lotty zabrała talerz z jego tacy.

- Połowa dla mnie, a połowa dla Marka - powiedziała. - Hermiona już zjadła swoją porcję, a więc mamy ją z głowy.

Kiedy markiz wziął do ręki widelec, Lotty już schodziła po schodach, niosąc w obydwu rękach swoją zdobycz.

- Chciałabym zwrócić panu uwagę - odezwała się Rowena - że robimy wszystko, aby pana wzmocnić. A w potrawce z gołębia, którą dla pana przyrządziliśmy, z pewnością jest więcej wartości odżywczych niż w zapiekance składającej się prawie wyłącznie z ziemniaków.

- Podejrzewam - rzekł markiz - że sporządzono ją z resztki mięsa, które pozostało z wczorajszego posiłku.

- Pańska wiedza na temat składników tej zapiekanki doprawdy mnie zdumiewa - z ironią zauważyła Rowena. - Pewnie niczego takiego nigdy pan nie próbował.

- Lecz ze zdumieniem stwierdzam, że jem z apetytem - odrzekł markiz. - A teraz, ponieważ zaspokoilem już głód, możemy wrócić do sprawy pieniędzy.

- Nie wcześniej, aż zje pan leguminę. - Rowena wzięła do ręki stojącą na komodzie salaterkę. - Dobrze to panu zrobi - dodała, stawiając naczynie tuż przed nim. - Tę leguminę sporządzono ze świeżo zerwanych malin.

- A może Lotty miałyby na nią ochotę?

- Lotty jest strasznie łakoma, a pan jeszcze ją w tym wspiera.

Markiz nabrał pełną łyżkę leguminy, której nie jadł od lat dziecięcych, i kiedy wziął ją do ust, przekonał się, że miała wyborny smak.

- Powiedz mi coś o sobie - poprosił.

- Nie wydaje mi się, aby to było interesujące - odrzekła Rowena. - Wszystkich nas miał już pan okazję poznać i chyba się pan przekonał, że jesteśmy skromną rodziną lekarza, żyjącą w małej wiosce, której spokój od czasu do czasu zakłócają lekkomyślni użytkownicy biegnącej w pobliżu drogi.

Markiz przez chwilę patrzył na nią spod oka, podejrzewając, że dziewczyna żartuje sobie z niego, po czym spokojnie powiedział:

- Moim zdaniem wcale nie wyglądacie tak, jak to usiłujesz mi wmówić.

Rowena roześmiała się.

- Myślę, że Hermiona wyrośnie na piękność. Już teraz chór chłopięcy zaczyna fałszować, kiedy moja siostra przyjdzie do kościoła!

- W pełni się z tobą zgadzam - przyznał markiz. - A i ty, gdybyś przybyła do Londynu, mogłabyś sprawić, że zamarłby ruch na Piccadilly!

Rowena spojrzała na niego w przekonaniu, iż stroi sobie z niej żarty, ale widząc wyraz jego oczu, szybko dodała:

- Nie wolno panu mówić nam takich rzeczy, milordzie. I proszę, aby nie psuł pan Hermiony. Już i tak wmówiła w siebie, że jest w panu zakochana. Kiedy pan stąd odjedzie, niełatwo będzie mi sprowadzić ją z powrotem na ziemię i zagonić do lekcji oraz innych obowiązków.

- Czy tylko taką przyszłość widzisz dla tej biednej dziewczyny?

- A pan widzi jakąś inną? - spytała wzburzona Rowena.

Niepokoiło ją, że od kiedy markiz się u nich zjawił, w ich domu coś się zmieniło. Ten człowiek zburzył panujący tu od lat porządek. Zaprzętał jej myśli zarówno w dzień, jak i w nocy. I to nie tylko dlatego, że go obsługiwała, ale również dlatego, że wniósł w ich życie coś, czego nigdy wcześniej nie

znała. Czowała się tak, jakby nagle orzeźwiający prąd powietrza przebiegł przez ich dom lub jakby nieoczekiwanie oślepił ją promień słońca. Nawet wtedy, gdy leżał nieprzytomny, był dla niej uosobieniem męskości. Teraz kiedy już doszedł do siebie, rozmawiała z nim, sprzeczała, odkrywając w nim jednocześnie coś, co stanowiło dla niej wyzwanie.

Do pasji doprowadzało ją przekonanie markiza, iż jest kimś tak ważnym, że cały świat musi się kręcić wokół jego osoby. Czowała poza tym, że chce im wyświadczyć grzeczność, pozostając w ich domu. W swej wspaniałej rezydencji mógłby równie szybko wrócić do zdrowia.

Sekretarz markiza przyjeżdżał powozem zaprzęgniętym w tak wspaniałe konie, że sam ich widok zapierał dech w piersiach. Lokaj, który przybywał codziennie, aby zająć się swoim panem, często opowiadał Rowenie o rozległych posiadłościach markiza i jego wyjątkowej pozycji towarzyskiej, co jeszcze bardziej uświadomiło dziewczynie, jak wielka dzieli ich przepaść.

Markiz wypił szklanekę czerwonego wina, która stała tuż przy nim na tacy.

- Mam ochotę na jeszcze jedną - powiedział. - Nie wolno panu pić więcej! - oświadczyła Rowena.

- Nonsens! - zawołał. - Mam pragnienie i żądam, abys mi naląła jeszcze jedną.

Rowena już miała to uczynić, kiedy nagle zmieniła zdanie.

- Musi to pan uzgodnić z moim ojcem - powiedziała. - Mam wypełniać polecenia doktora, a nie pana.

Uśmiechnął się dziwnie, co sprawiło, że poczuła się niepewnie.

- Mścisz się za to, że zgodziłem się, aby Lotty zamieniła się ze mną obiadem. Przestań być taka nieznośna i nalej mi jeszcze jedną szklaneczkę wina.

- A jeśli odmówię?

- Wtedy wyjdę z łóżka i zrobię to sam!

- Nie ośmieli się pan!

- Jesteś tego pewna? - zapytał.

Ich oczy się spotkały i Rowena miała wrażenie, że toczą między sobą pojedynek. Czując, że nie ona odniesie w nim zwycięstwo, skapitulowała.

- Dobrze - oświadczyła. - Niech pan robi, co chce. Ale jeśli będzie pan miał w nocy koszmarne bóle głowy, proszę nie mieć do mnie pretensji.

- Powinnaś wiedzieć, że pacjentowi nie wolno się sprzeciwiać - zauważył markiz.

Z satysfakcją obserwował, jak nalewa wino z kryształowej karafki, którą lokaj przywiózł z jego domu w Swayneling Park. Rowena nie odpowiedziała, ale markiz nie ustępował.

- Dlaczego milczysz? Przyzwyczailem się już, że żadnej mojej uwagi nie pozostawiasz bez odpowiedzi.

- To, co myślę, zatrzymam dla siebie. Obawiam się, iż nie jest pan na tyle zdrowy, aby usłyszeć to, co teraz myślę - odparła Rowena.

- Markiz roześmiał się.

- Świetnie! Teraz podaj mi portfel.

- Wyliczyłam kwotę, jaką według mnie winien jest pan mojemu ojcu - powiedziała Rowena. - Czy chce pan zobaczyć rachunek?

- Oczywiście!

Otworzyła szufladę, wyciągnęła z niej kartkę i położyła na brzegu łóżka.

Mężczyzna rzucił na nią okiem, po czym rzekł: - Moje drogie dziecko, to naprawdę śmieszne! Czyżbyś uważała, że za usługi twego ojca mógłbym zapłacić mniej niż połowę tego, co kosztują mnie konie?

- Pape z pewnością to zadowoli.

- Zapłacę twojemu ojcu tak, żeby go nie skrzywdzić - oświadczył markiz. - Kwota, którą wyliczyłaś za moje utrzymanie, jest również śmieszna!

- To więcej, niż kiedykolwiek żądałam od innych - zauważyła Rowena i roześmiała się. - I tak najczęściej tyle nie dostawałam.

Markiz wyjął kilka banknotów z portfela.

- Oto dwadzieścia funtów - powiedział. - I chcę, aby to było jasne. Te pieniądze są na pokrycie kosztów mojego utrzymania. Mój dług w stosunku do twego ojca ureguluję z nim osobiście.

Rowena cofnęła się, jakby pod wpływem uderzenia.

- Czyżby... pan sądził, że... mogłabym od pana przyjąć... taką sumę? - zapytała.

- Nie masz wyjścia - zauważył. - Jeśli odmówisz, natychmiast polecę memu sekretarzowi, aby otworzył na twoje nazwisko rachunek u któregoś z miejscowych kupców.

- Nie robi pan tego! - zawołała ze złością Rowena. - Ja również chcę, aby to było jasne: Nie prosimy o jałmużnę, milordzie.

- Ale ja proszę o rzeczy, które dla was są luksusem - wtrącił markiz. - Sama powiedziałaś, że muszę się dobrze odżywiać. A więc dobrze, żądam udźca baraniego, poledwicy wołowej, paru kurcząt i tak dalej, ale wszystko to będzie dostarczane z mojego domu.

- Nigdy się na to nie zgodzimy! - wykrzyknęła Rowena.

- Rozczarowujesz mnie - rzekł markiz. - Czy nie rozumiesz, że to głupota karmić bogatego kosztem biednego dla jakiejś idiotycznej dumy.

- Jak pan śmie tak do mnie mówić! - z oburzeniem zawołała Rowena.

W tej samej jednak chwili uświadomiła sobie, jak bardzo potrzebują tych pieniędzy, i w końcu uznając, że robi to dla dobra rodzeństwa, przyjęła propozycję.

Rozdział 2

- Czy mogę wejść? - szepnął jakiś głos zza uchylonych drzwi.

Markiz odwrócił głowę i ujrzał zerkającą na niego Hermionę.

- Wejdz, proszę.

- Rowena będzie niezadowolona, jeśli mnie tu zobaczy. Ale ja tak bardzo chcę panu pokazać moją nową sukienkę.

Kilka dni temu stan zdrowia markiza nagle się pogorszył i trzeba było znowu wezwać z Londynu sir George'a. Wybitny specjalista zalecił choremu jedynie spokój.

- To tylko gorączka, która w takiej sytuacji zawsze może wystąpić - uspokoił doktora Winsforda. - Jestem pewien, że wszystko będzie dobrze. Spokój i wypoczynek to w tym wypadku najlepsi lekarze.

Mimo to markiz czuł się fatalnie. Powrócił mu uporczywy ból głowy i dopiero po zażyciu leku zapadał w głęboki sen. Kiedy się budził, podświadomie czekał na delikatną, łagodną dziewczynę, którą ujrzał po raz pierwszy, gdy po wypadku odzyskał przytomność, czekał na słodycz jej głosu i miękkość ramion, kiedy unosiła mu głowę, aby podać mu pić.

Teraz czuł się już o wiele lepiej i uśmiechał się do idącej w jego stronę Hermiony. Dziewczyna doskonale wiedziała, jak pięknie wygląda w swojej nowej muślinowej sukience. Jednak wytrawne oko markiza bez trudu dostrzegło, że suknia uszyta była z taniego materiału, ale że jej błękit znakomicie pasował do koloru jej oczu i wspaniale podkreślał jasną cerę.

Nie pierwszy raz przyszło mu na myśl, że za rok lub dwa Hermiona, gdyby tylko odpowiednio ją ubrać i zaprezentować w wielkim świecie, zrobiłaby wielką furorę. Doskonale jednak wiedział, że to niemożliwe. Te piękne dziewczyny skazane były na życie w maleńkiej wiosce Little Powick, gdzie nie miały żadnych szans, aby ktoś zwrócił na nie uwagę.

Podczas gdy klasyczna uroda Roweny i Lotty przyciągała wzrok, nadzwyczajna uroda Hermiony wprost zapierała dech w piersiach. Włosy Roweny były jasne o odcieniu srebra, natomiast Hermiony przypominały płynne złoto. Oczy Roweny i Lotty były bladoniebieskie jak bławatki, podczas gdy oczy Hermiony miały odcień prawie granatowy. Jak to możliwe, setki razy powtarzał sobie markiz, aby taki prowincjonalny lekarz mógł spłodzić takie wspaniałe istoty?

- Podoba się panu? - z niepokojem zapytała Hermiona.

Stała tuż przy jego łóżku i obracała się dookoła, aby markiz mógł ją dokładnie obejrzeć.

- Wyglądasz wspaniale - z podziwem rzekł markiz. - Coś mi się jednak zdaje, że dobrze o tym wiesz.

- Bardzo chciałam, aby się panu podobało. - Mówiąc to Hermiona rzuciła mu takie powłóczyście spojrzenie, że markiz nie miał wątpliwości, iż niejedno męskie serce na ten widok mocniej by zabiło.

- Czy sama ją sobie uszyłaś? - zapytał.

- Dużo zrobiłam sama - z dumą odrzekła dziewczyna. - Wprawdzie Rowena skroiła ją dla mnie, ale wszystkie szwy są mojej roboty. Sama też przyszyłam falbanki wokół szyi i rękawów. - Leciutko westchnęła. - Tak bardzo bym chciała, aby ktoś zaprosił mnie na bal. Ale tu w Little Powick nikt ich nie urządza.

- A w hrabstwie? Hermiona roześmiała się.

- Wie pan równie dobrze jak ja - dodała - że rodziny ziemiańskie to świat dla nas zamknięty. Jeśli wydają bal czy przyjęcie, dzieci skromnego wiejskiego doktora nie są zapraszane.

Markiz milczał, ponieważ dobrze wiedział, że to prawda.

- Kiedy żył jeszcze stary dziedzic - ciągnęła Hermiona - tatusia i mamę raz w roku zapraszano na kolację. Tatuś bardzo

nie lubił tych wizyt, ale mama często powtarzała, że jego frak musi od czasu do czasu się przewietrzyć.

Markiz pomyślał, że jego ojciec w podobny sposób traktował miejscowego lekarza. Nawet gdyby ten człowiek miał jakieś dzieci, markiz i tak by na nie nie zwrócił uwagi. Był jednak pewien, że w niczym nie mogły przypominać rodzeństwa Winsfordów.

- Mama często powtarzała, że każdy powinien mieć jakąś pasję - dodała Hermiona, najwyraźniej nie mogąc oderwać się od wspomnień.

- A jaka jest twoja? - dopytywał markiz.

- Rysowanie pięknych sukienek - odpowiedziała dziewczyna. - Marzę, aby kiedyś projektować suknie dla jakiejś bardzo drogiej krawcowej.

- Myślę, że to dobry pomysł - rzekł markiz.

- Potrzebuję lekcji - westchnęła Hermiona. - Tylko nauczyciel może przecież ocenić, czy to, co robię, jest dobre czy złe.

- Ale wy chyba uczycie się? - pytał dalej markiz.

- Oczywiście, że się uczymy! - przyznała Hermiona. - Mamie bardzo na tym zależało, ale tatuś może nam tylko opłacić lekcje z takich przedmiotów jak: historia, geografia, matematyka, której nienawidzę, oraz literatura angielska.

- Czy sądzisz, że literatura to potrzebny przedmiot?

- Rowena tak sądzi. Ciągłe powtarza, że staniemy się okropnymi ignorantami. Jeśli nie będziemy czytać i przestaniemy dbać o nasz rozwój intelektualny.

- Czy postępujesz zgodnie z jej życzeniem? - śmiejąc się zapytał markiz.

- Wolałabym rysować - odrzekła Hermiona. - Ale Rowena się nie zgadza.

- Rowena zabroniła ci również wchodzić do tego pokoju!
- dobiegł ich głos od drzwi.

Hermiona spojrzała na siostrę z miną winowajcy.

- Weszła tylko na chwilę, aby mi pokazać swoją nową sukienkę - usiłował tłumaczyć ją markiz. - Podziwiałem właśnie efekty waszej wspólnej pracy.

- Potrzebuje pan spokoju - zauważyła Rowena. - I dobrze pan wie, że nie wolno dzieciom tu wchodzić.

- To było wczoraj - odrzekł markiz. - Dzisiaj czuję się znacznie lepiej i dokucza mi samotność.

Rowena podała mu szklanekę domowej lemoniady. Markiz upił z niej nieco, po czym oddał szklanekę z powrotem.

- Dziś mam ochotę na szampana. Powie pani Johnsonowi?

- Muszę najpierw zapytać papę.

- To niepotrzebna strata czasu - zauważył markiz. - Dobrze pani wie, że zgodzi się na wszystko, co może poprawić moje samopoczucie.

- Doskonale. Powiem pańskiemu służącemu, kiedy tylko się tu pojawi - chłodno oświadczyła Rowena.

Oczy Hermiony załśniły.

- Czy Johnson pojechał do Swayneling Park? - zapytała markiza. - Jeśli tak, to z pewnością przywiezie ze sobą trochę tych wspaniałych brzoskwiń.

- Hermiono! - zawołała zgorzona Rowena.

- Będę bardzo niezadowolony, jeśli o czymkolwiek zapomni. Powinien przywieźć i owoce, i warzywa, i wszystko, czego tylko wam potrzeba - zapewnił markiz.

- Jest pan bardzo uprzejmy - wtrąciła Rowena. - Ale nie chcemy nadużywać pańskiej dobroci.

- Potrzebuję tego do własnej konsumpcji - rzekł markiz. - Mam nadzieję, że dziś wieczorem zjem wreszcie prawdziwą kolację. Znudziły mi się te papki, którymi karmicie mnie od kilku dni.

- Przecież pan wie, że chory, który gorączkuje, nie może jeść niczego innego.

- Ja się nie skarżę - zauważył markiz. - Ale poczułem się już lepiej.

- I wygląda pan lepiej, znacznie lepiej! - z entuzjazmem wykrzyknęła Hermiona. - A to znaczy, że możemy już tu przychodzić i rozmawiać z panem. To okropne chodzić koło pańskiego pokoju na palcach, kiedy mamy ochotę zapytać o tyle rzeczy.

- O co chcecie zapytać?

- Dosyć, Hermiono! - zaprotestowała Rowena. - Zmykaj stąd. Jego lordowską mość męczą takie rozmowy. - Widząc rozczarowanie na twarzy siostry, dodała: - Jeśli nasz pacjent nie będzie zanadto zmęczony, przyjdiesz później, aby mu powiedzieć dobranoc.

- Chcę z nim teraz porozmawiać - upierała się dziewczyna.

- Rozmawialiśmy o zainteresowaniach - wyjaśnił markiz.

- Hermiona powiedziała, że chce być projektantką mody.

- Dobrze by było, aby przestała bujać w obłokach! - gniewnie zawołała Rowena.

- Mama mówiła, że każdy musi mieć jakąś pasję - upierała się Hermiona. - A jaka jest pańska, milordzie?

- Jeśli mam być szczery, to jest coś, co bardzo mnie interesuje i co sprawia mi wiele radości - przyznał markiz. - Ciekaw jestem, czy zgadniesz, co to takiego?

- Czy to ma jakiś związek z końmi?

- Nie. - Markiz spojrzał na Rowenę.

- Cokolwiek to jest - odezwała się - z pewnością jest to kosztowne i ma bardzo osobisty charakter.

- Nie jest specjalnie kosztowne, ale bardzo ze mną związane i zabiera mi wiele czasu.

- Co to jest? - dopytywała Hermiona. - Proszę nam powiedzieć.

- Genealogia - odrzekł.

Hermiona wyglądała na zakłopotaną, co widząc markiz zwrócił się do Roweny, jakby oczekiwał, że to ona jej to wyjaśni.

- Myślę - wolno odezwała się dziewczyna - że ma to jakiś związek z czyimiś przodkami.

- Tak - zauważył markiz - to sięgająca do najodleglejszych czasów historia czyjejś rodziny.

- Czy to oznacza, że zajmuje się pan sporządzaniem swojego drzewa genealogicznego? - zapytała Hermiona. - W jednej z ostatnio przeczytanych przeze mnie książek historycznych widziałam rysunek takiego drzewa, jak mi się zdaje, króla Karola Wielkiego.

- Bardzo dobry przykład - rzekł markiz. - Jeśli chodzi o moją rodzinę, to jej korzenie sięgają aż do Wilhelma Zdobywcy, a wśród moich przodków było co najmniej czterech królów.

- To fascynujące! - z podziwem zawołała Hermiona.

Rowena milczała i markiz, patrząc na jej profil, z przekąsem zauważył:

- Jestem niemal pewien, Roweno, że twój praktyczny umysł tę moją pasję już ocenił jako marnotrawienie czasu.

- Wyobrażam sobie, milordzie, że nie brak panu wolnego czasu - odrzekła Rowena. - Ale tu w tym domu bardziej jesteśmy związani z żywymi niż z umarłymi.

- Spodziewałem się to właśnie usłyszeć - rzekł markiz, a Rowena z irytacją pomyślała, iż mogła się zdobyć na bardziej oryginalną odpowiedź.

Nie wiedziała dlaczego, ale od chwili, gdy markiz powrócił do zdrowia, ciągle droczyli się ze sobą. Ten pojedynek na słowa czasami uznawała za ekscytujący, kiedy

indziej znowu za dosyć kłopotliwy. W tym mężczyźnie było jednak coś takiego, co sprawiało, że chciała tej walki.

Teraz kiedy nic mu już nie zagrażało, aura wyższości, która go otaczała, była dla niej jeszcze bardziej nie do zniesienia. Irytowała ją jego pewność siebie, dystyngowany wygląd i apodyktyczny sposób bycia. Poza tym czuła się urażona, iż znalazł się w centrum zainteresowania całej rodziny.

Kiedy byli wszyscy razem, Hermiona, Mark i Lotty rozmawiali wyłącznie o markizie, a Hermiona - Rowena co do tego nie miała żadnych wątpliwości - marzyła o nim po nocach. Mark, który miał lekcje prawie cały dzień, po powrocie do domu zasypywał domowników lawiną pytań o stan zdrowia ich najważniejszego pacjenta. A jeśli któryś z koni markiza był akurat w stajni, chłopak rzucał natychmiast książki i biegł, aby go zobaczyć.

Markiz zorientował się, jak byli biedni i jak bardzo odmienił się ich jadłospis, gdy na jego polecenie z domu w Swayneling Park przywożono codziennie nie tylko kurczęta, młode indyki i gołębie, ale również mięso jagniąt, baraninę i wołowinę z jego własnej hodowli. Mark i Lotty objadali się bez umiaru olbrzymimi brzoskwiniami, grejpfrutami, nektarynkami, renklodami i śliwkami. To wszystko przybywało w tak ogromnych ilościach, że spiżarnia zazwyczaj pusta, teraz pełna była dżemów, ostrych sosów korzennych oraz innych przetworów, które Rowena przygotowywała wraz z panią Hansen, aby nic z przywożonych produktów się nie zmarnowało.

Stara Hansen, kiedy tylko z rezydencji markiza przysyłano dziewczynę do pomocy w kuchni, jakoś szybko przestała się złościć, że przybyła im jeszcze jedna gęba do karmienia. Rowena wydawała się jedyną osobą, której dominująca pozycja markiza w ich domu zdecydowanie nie odpowiadała.

Jego służący i pomoc kuchenna przyjeżdżali rano z majątku, przywożąc ze sobą ogromne kosze z prowiantem. Sekretarz markiza - pan Ashburn - zjawiał się również codziennie i nigdy nie omieszkał zapytać Roweny, czy czegoś nie potrzebuje dla zapewnienia komfortu jego lordowskiej mości. A ponieważ on również miał wyraźną manię wyższości i dawał do zrozumienia, że nie uważa, iżby dom prowincjonalnego lekarza był właściwym miejscem dla jego pana, Rowena z trudem powstrzymywała się, aby mu nie oświadczyć, iż jedyną rzeczą, jakiej pragnie, jest, aby markiz mógł jak najszybciej powrócić do swego domu. Ale wiedziała, iż na to ani jej ojciec, ani słynny lekarz z Londynu nie wyrażą zgody. Czuła, że kiedy markiz w końcu wyjedzie, dużo czasu upłynie, zanim ten dom wróci do normalnego życia. On psuł te dzieciaki, nie bacząc na to, co z nich wyrosnie, pomyślała.

Nagle poczuła potrzebę przekłucia tego balonu próżności i odezwała się:

- Powinam była powiedzieć, milordzie, iż aby się przekonać, który z przodków najwięcej chluby przyniósł rodzinie, niekoniecznie trzeba się grzebać w zakurzonych manuskryptach.

- Nie jestem w tym odosobniony - odrzekł markiz. - Juliusz Cezar, na przykład, szczycił się przodkiem pochodzącym od Eneasza, który jak chyba pani wiadomo, był nie tylko bohaterem spod Troi, ale również synem Afrodyty.

- Czyżby pan sądził, że Afrodyta kiedykolwiek istniała? - zapytała Rowena.

- Być może pani i Hermiona są tego żywym dowodem - kpiąco zauważył markiz.

- Proszę opowiedzieć coś o genealogii - błagalnie odezwała się Hermiona. - Jeśli pan uznaje, że jest ona interesująca, to z pewnością tak jest

- Dziękuję ci - rzekł markiz, po czym zaczął opowiadać.

Rowena pomyślała, iż postanowił jej dokuczyć. Tymczasem markiz wyjaśniał Hermionie, że podstawowymi dokumentami, z których korzysta genealogia, są stare poematy epickie autorów takich jak Homer, sagi nordyckie oraz starożytna historia Grecji z I wieku.

- A na czym je pisano i czy można to odczytać? - dopytywała się Hermiona.

- Najpierw do tego celu używano papirusu, a później pergaminu - ciągnął markiz - Kapłani w Tebach w Egipcie posiadali trzysta czterdzieści pięć drewnianych posągów, z których każdy przedstawiał przodka jakiejś dynastii.

- To musiało być zabawne! - wykrzyknęła Hermiona. - Chciałabym mieć posągi naszej rodziny. Myślę, że nie byłoby ich zbyt wiele. Pan z pewnością miałby ich setki.

- Być może tysiące - z satysfakcją dodał markiz. - Oczywiście Rzymianie studiowali genealogię, aby pokazać różnice istniejące między patrycjuszami i plebejuszami.

- Którymi my jesteśmy? - gwałtownie zareagowała Rowena. - A teraz, milordzie, najwyższy czas, aby pan wypoczął. Chodź, Hermiono, trzeba nakryć do stołu.

- Zawsze, kiedy się czymś zainteresuję, dajesz mi jakieś polecenie - z oburzeniem zawołała Hermiona. - Jestem przekonana, że więcej korzyści wyniosłabym słuchając jego lordowskiej mości, niż układając nakrycia na stole. - Mimo tych protestów, nie śmiejąc sprzeciwić się siostrze, ruszyła w stronę drzwi, ale w ostatniej chwili odwróciła się jeszcze i powiedziała: - Chciałabym usłyszeć dużo więcej, milordzie, no i oczywiście zobaczyć pańskie drzewo genealogiczne.

- Pokażę je tobie - obiecał markiz.

Rowena podeszła do okna i poprawiła stopy, aby światło słoneczne nie przeszkadzało markizowi w wypoczynku.

- Przykro mi, że moje hobby cię nie interesuje - dobiegł ją cichy głos markiza.

- To nie o to chodzi - zaprotestowała Rowena. - Odwróciła się od okna i skierowała w jego stronę.

- A więc o co? - zapytał.

- Wiem, że chce pan być uprzejmy, milordzie - powiedziała. - I oczywiście doceniam wszystko, co pan dla nas uczynił. - Przerwała, szukając właściwych słów, po czym ciągnęła: - Ale nie chcę, aby swoim postępowaniem doprowadził pan do tego, że dzieci zaczną za panem tęsknić, i że ten dom, kiedy pan stąd wyjedzie, wyda się im straszliwie nudny.

- Pochlebiasz mi - rzekł markiz.

- Wcale nie miałam takiego zamiaru - zaprotestowała Rowena. - Po prostu zrozumiałam, iż nawet jeśli odegraliśmy jakąś rolę w pańskim życiu, pana rola w naszym staje się zbyt dominująca. - Westchnęła lekko, po czym dodała: - Mark nie potrafi mówić o niczym innym tylko o pańskich koniach, a pana parobek pozwala mu na nich jeździć. I jak pan myśli, co ten chłopak będzie czuł, gdy w pewnej chwili pozostanie mu tylko nasza stara chabeta, jeśli oczywiście mój ojciec nie będzie zmuszony pojechać nią do pacjenta.

- Czy rzeczywiście uważasz, że chłopiec w wieku Marka nie powinien interesować się końmi? - zapytał markiz.

- Interesować... tak! - odrzekła Rowena. - Ale nie obsesyjnie! Szczególnie takimi końmi, których najprawdopodobniej nigdy więcej nie zobaczy, a co dopiero mówić o ich dosiadanu. - Markiz milczał i Rowena, jakby chciała nagle wyrzucić z siebie wszystko, dodała: - Hermiona, jak pan zapewne wie, uważa pana za najbardziej interesującego mężczyznę na świecie! Czy traktując pana jako ideał mężczyzny, może kiedykolwiek zaakceptować jakiegoś zwyczajnego chłopaka, jakiego najprawdopodobniej za rok lub dwa w końcu spotka?

- Znowu mi pochlebiasz - zauważył markiz.

- Wcale nie myślę o panu - zaprotestowała Rowena. - Pan stąd odjedzie i pana drogi nigdy już nie skrzyżują się z naszymi. - Markiz wykonał jakiś gwałtowny ruch, jakby chciał zaprotestować, ale nie przerwał jej, pozwalając mówić dalej. - Nie minie kilka tygodni i zapomni pan o naszym istnieniu! A ja boję się... bardzo się boję... że ślady, jakie pan po sobie zostawi, będą nie do zatarcia. - Coś jakby szloch zabrzmiał w jej głosie.

Po chwili milczenia markiz odezwał się:

- Nie wspomniałaś o dwóch osobach: o Lotty i o sobie.

- Lotty będzie tęskniła za brzoskwiniami i innymi smakołykami, do których się już przyzwyczaiła - zauważyła Rowena. - Ale z nią nie będzie takiego problemu, jak z Markiem i Hermioną.

- A jeśli chodzi o ciebie?

- Zapomnę o panu, milordzie, tak szybko, jak tylko możliwe!

- I sądzisz, że to będzie łatwe?

- Jestem pewna, że zapomnę. Meteor nieczęsto pojawia się na niebie, a piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce.

- Jeśli o mnie chodzi, ciężko mi będzie o tobie zapomnieć. Czy wierzysz mi? - zapytał markiz.

- Prędzej uwierzę w Afrodytę i wszystkich greckich bogów razem wziętych - powiedziała z ironią w głosie Rowena, po czym kierując się w stronę drzwi dodała: - Muszę zejść na dół po pańską herbatę. Mam nadzieję, że wasza lordowska mość zapamięta moje słowa i będzie bardziej powściągliwy wobec Marka i Hermiony.

Opuściła pokój, zanim markiz zdążył jej odpowiedzieć. Spojrzał więc tylko na zamykające się za nią drzwi i nieoczekiwanie zamyślił się głęboko.

Następnego dnia, po porannym spotkaniu z markizem, pan Ashburn w godzinach popołudniowych ponownie zjawił się w domu Winsfordów, wioząc ze sobą skrzynię wypełnioną manuskryptami. Ustawiono ją tuż przy łóżku markiza i kiedy po odjeździe sekretarza Rowena weszła do pokoju chorego, ze zdumieniem spojrzała na dziwną przesyłkę.

- Pomyślałem, iż być może zechcesz obejrzeć drzewo genealogiczne mojej rodziny, o którym z takim lekceważeniem się wyrażałaś - powiedział markiz. - Jest to coś, czemu poświęciłem wiele lat mego życia. Teraz zastanawiam się nad opracowaniem almanachu starodawnych rodzin angielskich. - Rowena nie odezwała się. - Skoro jesteś aż tak zainteresowana tematem - ciągnął ironicznie markiz - dodam, iż wydawany od 1764 roku almanach gotajski zawiera wiadomości dotyczące genealogii dynastii panujących i arystokracji europejskiej.

- A pan uważa, że podobny powinien ukazywać się w Anglii? - zapytała Rowena.

- Dlaczego by nie? - rzekł markiz. - To jest naprawdę potrzebne. Czy wiesz, że wszystkie informacje o naszych rodach musimy wybierać z rejestrów parafialnych? Takie rejestry do roku 1538 w ogóle nie istniały. Dopiero Cromwell wprowadził obowiązek rejestrowania przez angielskich duchownych wszystkich urodzeń, chrztów i zgonów.

- Ale ja wciąż uważam, milordzie, że powinien pan skoncentrować się na żywych i sprawdzić, czy czasem nie mógłby pan im pomóc - odrzekła Rowena. - Teraz kiedy wojna się już skończyła, tysiące kalekich i niedołączonych ludzi czeka na wsparcie i pomoc medyczną. Jeśli wierzyć gazetom, następne tysiące czekają na domy opieki i sierocińce.

- W moim majątku jest kilka takich domów - odparł markiz. - Poza tym wierzę, iż książę Wellington w dostatecznym stopniu dba o tych, co w czasie wojny odnieśli

rany. Mnie, Roweno, chociaż ci się to nie podoba, wciąż fascynuje historia moich przodków. - Mówiąc to, otworzył skrzynię i wyciągnąwszy z niej ogromnych rozmiarów rękopis, podał go dziewczynie.

Rowena machinalnie wzięła go do ręki, ale kiedy na niego spojrzała, lekceważenie, które malowało się na jej twarzy, szybko zniknęło. Nigdy nie widziała czegoś podobnie pięknego. Zachwyty budziły niezliczone, bajecznie kolorowe ilustracje przedstawiające kwiaty i różne postacie, a wszystko namalowane z precyzją godną najlepszego miniaturzysty.

- Ten rękopis przedstawia fragment mojego drzewa genealogicznego namalowanego w XIV wieku przez sir Roberta Swayne'a. Był on w prostej linii potomkiem Swayne'ów, którzy wraz z wojskiem Wilhelma I Zdobywcy dokonali inwazji Anglii.

- To rzeczywiście bardzo piękne - przyznała Rowena.

Kiedy markiz wyciągał ze skrzyni jeden rękopis za drugim, dziesiątki ozdabiających je drobnych elementów dekoracyjnych i barwnych inicjałów wywoływały głośny zachwyty Roweny tak typowy dla jej młodszej siostry Hermiony.

Były wśród nich rękopisy iluminowane w stylu francuskiego gotyku, który, jak wyjaśnił markiz, przeżywał okres szczególnego rozkwitu za panowania króla Ludwika IX. Były także rękopisy angielskie z XIV wieku ozdobione bajkowymi scenkami i motywami roślinnymi tak charakterystycznymi dla średniowiecznych psalterzy. Jeden z manuskryptów wzbudził szczególny podziw Roweny. Był dziełem flamandzkiego artysty tworzącego w XV wieku i pokazywał powiązania księcia Burgundii z rodem Swayne'ów.

- Jakże to piękne! - z zachwytem wykrzyknęła Rowena. - Co za szczęście, że wszystko tak wspaniale się zachowało!

- Zbiory naszej rodziny z wielkim pietyzmem przechowywane były od pokoleń - rzekł markiz. - Mój ojciec bardzo się nimi interesował, ale nie do tego stopnia jak ja. Ta kolekcja powstała dzięki moim wieloletnim wysiłkom. - Po chwili z uśmiechem dodał: - Wspomina się nawet o nas w historii napisanej we Francji przez ojca Anzelma de St. Marie. To dzięki tej pracy odkryłem francuską linię rodu Swayne'ów.

- Czy ktoś z nich jeszcze żyje? - zapytała Rowena.

- Kilkoro - odrzekł.

Markiz pokazał oczarowanej dziewczynie jeszcze inne manuskrypty, po czym pieczołowicie umieścił je w skrzyni, w której zostały przywiezione.

- Teraz rozumiesz, dlaczego akurat to hobby uważam za bardzo pasjonujące? - zapytał.

- Do pewnego stopnia - przyznała. - Przypuszczam, że to właśnie dzięki temu stał się pan taki dumny.

- Oczywiście! - zawołał. - Moja rodzina ma aktualnie dwadzieścia pięć pokoleń. Moja matka była z rodu O'Brien, który w prostej linii spokrewniony był z królami Irlandii. Któż nie byłby z tego dumny?

- Wyobrażam sobie, jak trudno będzie panu znaleźć sobie żonę, chyba że ma pan zamiar spokrewnić się z rodziną królewską - z odrobiną sarkazmu zauważyła Rowena.

- Myślałem o tym. - W oczach markiza pokazały się wesołe ogniki. - Ale księżniczki w pałacu Buckingham są wyjątkowo szpetne, ich portrety zepsułyby kolekcję pięknych kobiet, jakich nie brakowało wśród moich przodków.

- Zawsze przecież może pan zamknąć oczy, kiedy będzie ją pan całował - drażniła się z nim Rowena. - Po czym, wstrzymując oddech, wyrecytuje pan całe drzewo genealogiczne jej rodziny.

- To bardzo praktyczna uwaga - odparł markiz. Przyglądał się stojącej przy łóżku Rowenie. W jej włosach zdało się lśnić

słońce, a oczy były jak nigdy dotąd przejrzyste. - A skoro już mówimy o małżeństwie - zauważył markiz - to kogo masz zamiar poślubić?

- Ponieważ kandydatów jest aż tak wielu, trudno mi będzie na to pytanie odpowiedzieć.

- Na Boga! Przecież musi tu być jakiś młody człowiek!

- Jest pułkownik Dangerfield - powiedziała Rowena. - Usiłował mnie nawet pocałować, kiedy ostatnio przyniosłam mu gazetę parafialną. Zbliża się chyba do osiemdziesiątki i jest tak połamany przez artretyzm, że łatwo mi było ujść przed jego amatorami! - Zabawne dołeczki pojawiły się na jej policzkach. Po chwili milczenia dodała: - Jest jeszcze pewien bardzo zapalczywy młody człowiek ze stadniny w Aston Ripley, który czasami tędy przejeżdża. Zaproponował mi przejażdżkę, ale ja czuję, iż drogo by mi przyszło za tę przyjemność zapłacić!

Markiz wyrzucił z siebie coś, czego Rowena nie zrozumiała, i kiedy spojrzała na niego pytająco, powiedział:

- Chyba masz jakichś krewnych, którzy mogliby zabrać cię do siebie i zapewnić inne warunki?

Ku jego zaskoczeniu te słowa jakby ją nagle zmroziły. Po czym, najwyraźniej chcąc zmienić temat, oświadczyła:

- Na dole czeka na mnie wiele pracy, milordzie. Czy jest coś, czego pan sobie jeszcze życzy?

- Tak. Mam ochotę na szampana. Proszę polecić Johnsonowi, aby mi go przyniósł.

- Papa powiedział, że może pan pić alkohol, ale w bardzo umiarkowanych ilościach, a dziś podczas lunchu pił pan już przecież wino.

- Które oczywiście mam zamiar wypić również do obiadu - wtrącił markiz. - A szklaneczka szampana z pewnością zaostrzy mi tylko apetyt. - Widząc, jak usta Roweny zaciskają

się, dodał: - Czy to troska o moje zdrowie, czy też obawa, że opóźniając rekonwalescencję pozostanę tu dłużej?

- Jedno i drugie - odrzekła Rowena. - Już raz pogorszyło się panu, milordzie, i nie chciałabym, aby spotkało to pana ponownie.

- Proszę tu podejść - - rzekł markiz stanowczym tonem.

Kiedy nieco zdziwiona zbliżyła się do jego łóżka, wyciągnął do niej rękę. Czując, iż tego właśnie od niej oczekuje, dotknęła palcami jego dłoni.

- Nie chcę, abyś myślała, że jestem niewdzięcznikiem - odezwał się markiz. - Sir George z wielkim uznaniem wyrażał się o pani ojcu. Twierdził, że nie mogłem trafić w lepsze ręce. Bardzo chwalił również znakomitą opiekę, jaką w tym domu znalazłem. Dziękuję ci, Roweno.

Było coś w jego głosie, co kazało jej przypuszczać, że mówi szczerze. Po chwili markiz uniósł jej dłoń do ust i ucałował ją. Rowena zarumieniła się gwałtownie i spuściła wzrok.

- Nie ma potrzeby... dziękować nam... milordzie - wyszeptała. - Wypełniamy po prostu... nasz... obowiązek. - Czując przyspieszone bicie swego serca i bolesną suchość w gardle, szybko się odwróciła i nie oglądając się za siebie, wyszła z pokoju.

Doktor Winsford jadł obiad z takim roztargnieniem, że Rowena nie miała wątpliwości, iż przywożone z majątku markiza specjały nie robiły na nim żadnego wrażenia. Wśród całego mnóstwa dostarczonych dziś wspaniałości był świeżo złowiony pstrąg; dorodne, mięsiste kurczęta w niczym nie przypominające chudych kogutów, na które tylko od czasu do czasu Winsfordowie mogli sobie pozwolić; świeżo zerwane maliny, które podano na deser z bitą śmietaną; ogromne kiście winogron i soczyste wiśnie.

- Masz jakieś kłopoty, tatusiu? - zapytała Rowena.

- Martwię się o panią Lacey - odrzekł doktor. - Jak wiesz, tydzień temu urodziła bliźnięta, ale ciągle nie dochodzi do siebie. Natomiast maluchy z każdym dniem są coraz silniejsze.

- To doskonale. Tylko ciekawa jestem, kto ich wszystkich wyżywi. Sam Lacey przez cały rok nic nie robił, a ma przecież jeszcze szóstkę dzieci do wykarmienia. Nie sądzisz, że powinien rozejrzeć się za jakąś pracą?

Doktor westchnął.

- Zgadzam się z tobą że to nicpoń - rzekł. - Ale jego żona jest wzorową matką. Zastanawiam się, co mógłbym jej zanieść idąc do nich wieczorem?

- Znajdzie się trochę zupy - oświadczyła Rowena. - Chyba nawet resztką kurczaka, chociaż muszę zostawić kawałek dla pani Hansen.

- To już coś - ucieszył się doktor. Rowena spojrzała na niego badawczo.

- Chyba nie dałeś Samowi Lacey pieniędzy, tatusiu?

Doktor Winsford sprawiał wrażenie zakłopotanego i Rowena wiedziała, że strzał okazał się celny.

- Och, tatusiu! Tyle razy obiecywałeś, że nie będziesz rozdawał pieniędzy. Dobrze wiesz, że nas na to nie stać.

- Pomyślałem, że teraz, kiedy markiz tyle nam płaci, możemy sobie na to pozwolić - zauważył doktor.

- Te pieniądze pokryły nasze długi, i już zostało nam niewiele, musimy to odłożyć - odparła Rowena. - Wiesz równie dobrze jak ja, tatusiu, że wkrótce znowu trzeba będzie liczyć każdy pens i zacząć skromnie się odżywiać.

- Przykro mi, Roweno, ale musiałem mu pomóc - spokojnie powiedział doktor, po czym, wstając od stołu i pochylając się nad córką delikatnie pocałował ją w czoło. - Nie miej do mnie żalu - rzekł z uśmiechem i opuścił pokój, zanim zdążyła mu odpowiedzieć.

Zawsze to samo - pomyślała Rowena. - Ojciec nigdy się już nie zmieni. A przecież powinni oszczędzać, aby posłać Marka do szkoły. Aktualnie lekcji udzielali chłopcu emerytowany wiejski nauczyciel oraz miejscowy pastor - człowiek bardzo wykształcony, posiadający tytuł doktora nauk uniwersytetu w Oksfordzie, niestety ogromnie przy tym leniwy. Jedynym zajęciem, któremu z upodobaniem się oddawał, było polowanie w sezonie zimowym, kiedy to zawsze mógł liczyć na to, że znajdzie kogoś, kto użyczy mu konia. Jednocześnie pastor na swój sposób lubił doktora Winsforda i wdzięczny mu był za wyleczenie żony, kiedy przed dwoma laty poważnie zachorowała.

Rowena ceniła obydwu nauczycieli Marka. Uważała jednak, iż bratu poza bardziej intensywną edukacją potrzeba towarzystwa rówieśników. W pobliskiej wiosce byli wprawdzie chłopcy w jego wieku, ale większość czasu spędzali pomagając w gospodarstwie, zresztą ich zachowanie często pozostawiało dużo do życzenia. Marzeniem Roweny było, aby brat dostał się do którejś z bardziej ekskluzywnych szkół, takich jak Harrow czy Rugby, gdzie kiedyś uczył się ich ojciec. „Chyba moglibyśmy jakoś sobie z tym poradzić” - pomyślała. Chociaż nie bardzo wiedziała, jak.

Pomimo iż jej ojciec w zasadzie pogodził się z koniecznością oszczędzania, to jednak nie przestał finansowo wspierać takich rodzin jak Laceyowie. Rowena pocieszała się jedynie tym, iż od czasu, gdy markiz zjawił się w ich domu, udawało się jej odłożyć prawie każdego szylinga, który trafiał do nich od innych pacjentów ojca. Z tych wpłat Rowena utworzyła specjalny fundusz, który nazwała „Funduszem Marka”. Pieniądze te trzymała w zamkniętej szkatułce w swoim pokoju i na prowadzenie domu nigdy nie wzięła z nich ani pensa. '

Mimo to zgromadzona kwota na pewno by nie wystarczyła na opłaty w którejkolwiek z renomowanych szkół. W tej sytuacji Rowena, niezależnie od tego, co sądziła o wpływie markiza na domowników, pomyślała, że wypadek na krzyżówce był dla nich ratunkiem. Jednocześnie uświadomiła sobie, iż nawet jeśli zapłacą za jeden semestr nauki Marka, to nie poradzą sobie z następnymi opłatami, bo mało jest prawdopodobne, by tak bogaty pacjent jak markiz spadał im z nieba w każdym miesiącu. Tymczasem markiz czuł się coraz lepiej i wszystko wskazywało na to, iż wkrótce ich opuści.

Kiedy Rowena szła na górę, aby zanieść markizowi coś ciepłego do picia, co miało choremu zapewnić spokojny sen, była zdecydowana porozmawiać z nim o pewnej sprawie, która od pewnego czasu nie dawała jej spokoju.

Służący przygotował już markiza do snu i jego lordowska mość leżał wsparty na poduszkach w jedwabnej nocnej koszuli. Zdobiąca wytworną bieliznę kryza biegła wokół jego szyi jeszcze bardziej uwydatniając jego męskie rysy. Dół rękawów obszyty był również kryzą, która sięgała aż do nadgarstków, i kiedy Rowena zbliżała się do łóżka chorego, ostatnie promienie słońca zaśniły na tkwiącym na jego palcu sygnecie.

Wiedząc, jak bardzo się szczyli swoim monogramem, uśmiechnęła się leciutko i pomyślała, że jest to powód jego dumy ze swego pochodzenia, no i oczywiście z samego siebie.

Markiz obserwował, jak idzie przez pokój. Podziwiał jej wdzięk, jej sylwetkę i sposób trzymania głowy, jakby nosiła na niej koronę. Wyobraził sobie, jak wyglądałaby w jednym z diademów przechowywanych w sejfie w Swayneling Park. Wiedział, że w garniturze z szafirów byłoby jej do twarzy, ale zdecydował, iż komplet z turkusów, który tak uwielbiała jego matka, prezentowałby się jeszcze bardziej okazale. Każdy turkus w naszyjniku obramowany był ogromnymi diamentami

i markiz oczyma wyobraźni widział, jak wspaniale lśniłyby te klejnoty na tle jej niezwykle jasnej skóry.

Rowena podeszła do łóżka i usiadła na stojącym tuż obok krześle.

- Co cię martwi? - zapytał markiz.

Była zaskoczona, że to zauważył, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

- Pan Ashburn mówił dziś, że prawdopodobnie już wkrótce będzie pan mógł wrócić do domu.

- Twój ojciec pozwolił mi jutro wstać po raz pierwszy z łóżka. Myślę, że to dobry znak.

Rowena wahała się chwilę, po czym powiedziała: - Jestem pewna, że sir George Seymour, który dwukrotnie tu do pana przyjeżdżał z Londynu, jest bardzo... drogi.

- Tak sędzę - odrzekł markiz.

- A jeśli byłby pan... pod opieką swojego domowego lekarza, ile by to pana... kosztowało?

Markiz spojrział na nią ze zdziwieniem, po czym rzekł:

- Pan Ashburn może udzielić ci tej informacji.

- Nigdy by mi do głowy nie przyszło zadać tak osobiste pytanie pańskiemu sekretarzowi - z godnością odparła Rowena.

- To, czego pragniesz się dowiedzieć, jest właśnie kwotą, którą zamierzam wręczyć twemu ojcu.

- Doskonale! - zgodziła się Rowena. - Chciałabym jeszcze zapytać waszą lordowską mość, czy zamiast ojcu nie mógłby pan przekazać tych pieniędzy mnie?

- Czy byłoby to etyczne?

- Jeśli wręczy je pan mojemu ojcu, to on natychmiast odda je komuś innemu - oświadczyła Rowena. - Chyba już zdążył pan zauważyć, że mój ojciec troszczy się nie tylko o zdrowie okolicznych mieszkańców, ale również o ich puste kieszenie i puste żołądki.

- A masz ma mu to za złe?

- Oczywiście, że mam! - odrzekła Rowena. - Z tego powodu moje rodzeństwo nie odżywia się najlepiej, co może mieć niekorzystny wpływ na ich prawidłowy rozwój. Poza tym bardzo pilnie potrzebuję pieniędzy na coś niezmiernie dla mnie ważnego.

- Na nową suknię? - zauważył markiz. Zamierzał ją sprowokować i w pełni mu się to udało.

- Byłam pewna, że nie ma pan o mnie zbyt dobrego zdania - powiedziała lodowato. - Ale jeśli sądzi pan, że podczas gdy moja rodzina cierpi niedostatek, ja mogłabym myśleć o strojach, to jest pan w dużym błędzie!

Markiz wybuchnął śmiechem i Rowena się zorientowała, że chciał jej po prostu dokuczyć.

- Przepraszam - rzekł pojednawczo. - Ale nie mogłem oprzeć się pokusie, aby ujrzeć ten błysk świętego oburzenia w twoich oczach! Chyba musisz przyznać, że z tej potyczki to ja wyszedłem zwycięsko.

- Jest pan obrzydliwy! - zawołała wzburzona dziewczyna.

- Mimo to powiesz mi, na co tak pilnie potrzebujesz tych pieniędzy?

- Chcę posłać Marka do szkoły - odrzekła po prostu Rowena.

- Mark, Lotty, Hermiona! - zawołał markiz. - Czy nigdy nie myślisz o sobie, Roweno?

- Właśnie teraz o sobie myślę - powiedziała. - Serce mi pęka, kiedy widzę, że Mark wyrasta na ignoranta i że brak mu towarzystwa rówieśników. Czy uwierzy pan, że w okolicy nie ma ani jednego chłopca w wieku dwunastu lat, z którym mógłby się zaprzyjaźnić? - Westchnęła głęboko i dodała; - To głupie pytanie. Skąd miałby pan o tym wiedzieć? Wszystko, o co proszę, to aby nie dał pan papie tego, co jest mu winien, ale

przekazał mnie. Każdy pens z tej kwoty będzie przeznaczony dla mojego brata.

- Sądzisz, że będzie to wystarczająca suma, aby pokryć koszty przyzwoitej szkoły? - zapytał markiz.

- Nie. Oczywiście, że nie! - odrzekła Rowena. - Nie spodziewam się aż tyle, nawet od kogoś takiego jak pan. Ale ja cały czas oszczędzam. Poza tym myślę, że kiedy już pan nas opuści i nie będę tak zajęta, mogę spróbować zarobić trochę pieniędzy.

- W jaki sposób? - zdumiał się markiz.

- Prawdę mówiąc, to co wymyśliłam, zawdzięczam panu - wyznała Rowena. - Mieliśmy tyle owoców, że z tego co zostało, zrobiłam przetwory.

- Bardzo mądrze.

- Myślałam, że wystarczy nam tego na całą zimę - dodała Rowena. - Ale w ubiegłym tygodniu żona pastora zapytała mnie, czy nie podarowałabym trochę na kiermasz dobroczynny. Dałam dwa słoiczki: jeden brzoskwiń, drugi renklod. I niech pan sobie wyobrazi: zostały sprzedane po szylingu za sztukę! - Głos Roweny drżał z emocji, a oczy lśniły radością. - Po szylingu! Pastorowa twierdziła, że mogłaby ich sprzedać znacznie więcej.

- Nie może być! - zawołał markiz, obserwując ją z zainteresowaniem.

- Sad jest zaniedbany i owoce niezbyt duże. Być może dlatego, że drzewa są już stare. Ale śliwki i pigwy obrodziły, a później będą jeszcze jabłka. Jeśli zrobię z nich dzemy i kompoty według specjalnej receptury mojej mamy, myślę, że znajdą nabywców. - Rowena skończyła mówić i patrzyła na markiza, jakby czekała, co na to powie.

Nie spuszczać z niej oczu markiz odezwał się:

- Ciekaw jestem, czy za parę lat myśl, że możesz otrzymać szylinga za słoiczek dżemu, będzie cię tak samo ekscytować jak dziś.

- Może, gdy nie będzie to sprzedaż dobroczynna, nie uzyskam tak wiele.

- To prawda - zgodził się markiz.

Widząc wesołe ogniki w jego oczach, zorientowała się, że nie mówi poważnie.

- Bawi to pana - zawołała z oburzeniem. - Wiem, że to wszystko brzmi dla pana idiotycznie, ale od tego zależy cała przyszłość Marka.

- Nie śmieję się z tych planów, Roweno - rzekł markiz. - Myślę, że są godne najwyższego podziwu. To, co czuję naprawdę, to zazdrość. Zazdroszczę ci entuzjazmu. Nie pamiętam, kiedy ostatnio się czymś tak entuzjasmowałem.

- Przypuszczam, że drzewem genealogicznym pańskiego rodu! - zauważyła złośliwie Rowena.

- Jak słusznie zauważyłaś, drzewo genealogiczne mojej rodziny rzeczywiście mnie ekscytuje, ale z pewnością nie do tego stopnia, jak ciebie myśl o słoiczku dżemu z pigwy.

- Ta rozmowa zupełnie nie ma sensu - zawołała Rowena ze złością. - Proszę pana jedynie o to, aby pieniądze, które chciał pan wręczyć memu ojcu, oddał mnie. O ile, oczywiście, ma pan zamiar mu zapłacić.

- Mam wiele wad - odparł markiz. - Ale zapewniam cię, że zawsze reguluję moje zobowiązania, i to niezwłocznie!

- Bardzo mnie to cieszy - zauważyła Rowena. - Wypada mi tylko mieć nadzieję, że wynagrodzi pan papę tak, jak na to zasługuje.

- Sądzę, że kwota stu gwinei będzie do przyjęcia - rzekł markiz.

Oczy Roweny zrobiły się ogromne i po chwili, nie mogąc ochłonąć ze zdumienia, wyjąkała:

- Czy ja dobrze usłyszałam?
- Powiedziałem: sto gwinei. Uznałem, że tyle są warte usługi twojego ojca.
- Pan... nie... żartuje?
- Nie. Przysięgam, jestem śmiertelnie poważny. Spojrzała na niego w osłupieniu, a kiedy ich oczy się spotkały, spuściła wzrok.
- Nie możemy przyjąć tak ogromnej kwoty!
- Mam zamiar dodać do niej jeszcze dwadzieścia pięć gwinei za nadzwyczajną opiekę, którą tu otrzymałem.
- Rowena wciągnęła gwałtownie powietrze i podniosła dumnie głowę.
- Nie prosiłam o wsparcie, milordzie.
- Proszę tego tak nie odbierać - odparł markiz. - Sir George poinformował mnie, iż gdyby po wypadku wieziono mnie dziesięć mil do mojego domu, rezultat mógłby się okazać fatalny.
- To nie ma nic do rzeczy - oświadczyła Rowena. - Lekarz na prowincji, jak panu wiadomo, nie otrzymuje takiego wynagrodzenia.
- Prosiłaś mnie, abym zapłacił twemu ojcu tyle, ile było warte jego leczenie.
- Ale sądzę, że to stanowczo za dużo.
- Czyżbyś uważała się za powołaną do wyrokowania w tej sprawie.
- To... nie tak - z wahaniem powiedziała Rowena. - Kiedy prosiłam pana, aby przekazał mi pan... pieniądze, które chciał pan wręczyć papie, sadziłam... iż jeśli okaże się pan wyjątkowo... wspaniałomyślny, to będzie to kwota nie większa niż... dwadzieścia gwinei.
- Moje życie jest znacznie więcej warte.
- Nie to chciałam... powiedzieć.

- Dobrze wiem, co chciałaś powiedzieć, Roweno - odrzekł markiz. - I pragnę cię zapewnić, że mam zamiar zapłacić twemu ojcu dokładnie tyle, ile uważam za stosowne, bez względu na to, co o tym sądzisz. Jeśli nie akceptujesz tej kwoty, przekażę ją bezpośrednio ojcu. Jestem pewien, że będzie wiedział, na co te pieniądze wydać.

- Pan mnie szantażuje - zaprotestowała Rowena.

- Być może - rzekł markiz. - Ale kiedy jestem pewien swoich racji, nigdy nie ustępuję.

- Nie wątpię - wtrąciła Rowena. - I wcale dobrze pan na tym nie wychodzi.

Markiz roześmiał się.

- Jak wszystkie kobiety chciałaby pani, abym płaszczył się przed nią i robił to, co każesz, inaczej będziesz się czuła zawiedziona.

Rowena zarumieniała się.

- Proszę, niech pan choć przez chwilę będzie poważny - błagała. - To bardzo uprzejme z pana strony... Bardzo... bardzo uprzejme, że chce pan dać ojcu tak wysokie honorarium. Ale czuję, iż ta kwota nie byłaby tak ogromna, gdybym wcześniej nie wyjawiała, na co chcę ją przeznaczyć. Będziemy naprawdę ogromnie wdzięczni, jeśli otrzymamy połowę tej sumy.

- Czy w dalszym ciągu masz zamiar się ze mną spierać? - zapytał markiz. - Powiedziałem przed chwilą, że nie ustąpię, a szczególnie, kiedy w grę wchodzi twoja osoba.

- Ale... dlaczego?

- O tym porozmawiamy przy innej okazji - odparł markiz.

Coś kryło się pod tymi słowami, ale Rowena nie miała pojęcia co. Kiedy w zakłopotaniu spojrzała na niego i napotkała jego wzrok, czuła, że chciał jej coś powiedzieć. Coś dziwnego było również w wyrazie jego twarzy i w linii ust.

Nagle poczuła się bardzo młoda, bardzo niedoświadczona i bezbronna.

- Zupełnie nie wiem... co... powiedzieć, milordzie - wyszeptała.

- Po cóż więc mówić cokolwiek, Roweno? - zapytał markiz. - Po prostu mi zaufaj.

Rozdział 3

Patrząc na siedzącego w końcu stołu markiza, Rowena pomyślała, iż wygląda on jeszcze bardziej imponująco, niż mogła to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Już nie miał na sobie koszuli nocnej, do której zdążyła się przyzwyczaić, lecz wytworny smoking, i w tym skromnym pokoju jadalnym zdawał się istotą z innej planety.

Od kilku dni doktor pozwolił mu już wstawać i poruszać się trochę po pokoju, a potem zaczął schodzić na jakąś godzinę na dół. Rowena wiedziała, że wysiłek nie jest wskazany, i bardzo się troszczyła, by się nie przemęczał. Ale teraz, kiedy zdawał się już nie potrzebować jej opieki i kiedy pomyślała, że jutro opuści ich dom, poczuła dziwne ukłucie w sercu.

„Właśnie tak go zapamiętam - powiedziała sobie. - Siedzącego prosto na tym krześle z wysokim oparciem i rozmawiającego z domownikami z tym tak charakterystycznym dla niego zabawnym grymasem ust”.

Rowena nigdy nie wiedziała, czy markiz kpi z nich, czy tylko chce ich do czegoś sprowokować.

Jednak gdy zwracał się do niej, nie miała wątpliwości, iż w grę mogła wchodzić tylko ta druga ewentualność. Jednocześnie nikt nie był od niego bardziej czarujący i bardziej wspaniałomyślny.

Tego wieczoru, zanim usiedli do stołu, całą rodzinę obdarował prezentami, które, jak oświadczył, były wyrazem jego wdzięczności za wspaniałą gościnę. Doktor Winsford otrzymał nowy mikroskop, który ogromnie go uradował, a Hermiona olbrzymie pudło farb, pędzle i bloki rysunkowe, na których widok z wrażenia zaniemówiła.

- Namaluję dla pana, milordzie, wspaniały obraz - powiedziała po chwili. - Obawiam się tylko, iż nie będzie tak piękny jak pańskie manuskrypty.

- Trzymam cię za słowo - odrzekł markiz. Hermiona wciąż patrzyła na pudło z farbami, jakby się bała, że to sen. Lotty również nie kryła zachwyty, kiedy ujrzała śliczną lalkę wraz z kompletem ubrań, wśród których znalazła się suknia obszyta prawdziwą koronką. Na Marka czekała bardzo efektowna szpicruta ze srebrnym uchwytem, na którym wygrawerowano inicjały chłopca. Okrzykiem radości i zachwyty nie było wprost końca. W pewnej chwili Hermiona, nie mogąc opanować ciekawości, zapytała:

- Czy dla Roweny nie ma prezentu, milordzie? Przecież ona zrobiła dla pana więcej niż ktokolwiek z nas.

- Doskonale o tym wiem - odparł markiz. - Ale prezent dla Roweny nie jest jeszcze gotowy.

Hermionę uspokoiło to wyjaśnienie, ale Rowena nie kryła zaintrygowania. Zauważyła oczywiście, że markiz ją pominął, i trochę ją to dotknęło. Pomyślała, iż chciał ją w ten sposób ukarać za nieustanne pojedynki słowne, które z nim staczała. Ale teraz zupełnie nieoczekiwanie poczuła nagły przyływ szczęścia: a więc i o niej pamiętał!

Wspólna kolacja, w której markiz uczestniczył po raz pierwszy, a zarazem ostatni, była bardzo uroczysta. Stara Hansen przeszła samą siebie, gotując „ulubione potrawy jego lordowskiej mości”. Pan Ashburn natomiast przywiózł ze Swayneling Park wspaniałą pasztet oraz mnóstwo słodczy. Lotty nie pozwolono zasiąść do stołu, ale zaniecono jej do dziecinnego pokoju krem, galaretkę i czekoladki.

- Tak bym chciała, aby markiz został jeszcze z nami - westchnęła, oblizując umazane słodczymi palce.

- Trzeba będzie znów zasiadać do skromnie zastawionego stołu - powiedziała Rowena jakby do siebie. - Ale to tylko wyjdzie nam na dobre.

- Polubiłam te smaczne potrawy - zaprotestowała Lotty. - Jego też lubię! Jest bardzo, bardzo miły. I poślubię go, kiedy tylko dorosnę!

Rowena roześmiała się, ale w jej głosie wcale nie było słychać radości.

- Hermiona już chce go poślubić - ciągnęła Lotty. - Kiedy siedziała wczoraj przy swoim biurku, zerknęłam jej przez ramię. Napisała: „Kocham go! Kocham go"! aż do końca kartki!

- Nie powinnaś czytać tego, co nie jest przeznaczone dla ciebie! - skarciła ją Rowena. Jednocześnie pomyślała, że to bardzo dobrze, iż markiz już wyjeżdża. Wróci do świata, do którego zawsze należał, i jeśli jeszcze kiedyś sobie o nich przypomni, będzie to dla niej ogromnym zaskoczeniem. Nie mogła pozbyć się wciąż powracającej myśli, że będzie szukała jego nazwiska w kronice towarzyskiej w prenumerowanej przez ojca „The Morning Post”. Spodziewała się jednocześnie, iż to, że markiz przebywał u nich tak długo, zrobi na okolicznych mieszkańcach duże wrażenie. Być może nawet te rodziny, które dotychczas za bardzo się ceniły, aby korzystać z usług jej ojca, teraz zmienią zdanie. Jednak cokolwiek by nimi kierowało, Rowena będzie szczęśliwa, ponieważ ich pieniądze pokryją koszty nauki Marka.

Dziś rano markiz wręczył jej czek na sto gwinei i ona ten czek przyjęła, chociaż coś wewnątrz niej buntowało się na myśl, że nie mogą sobie pozwolić na jego odrzucenie. Tak bardzo by chciała okazać markizowi, że jego pieniądze nie mają dla nich większego znaczenia, ale prawda była inna. Rozpaczliwie tych pieniędzy potrzebowali i Rowena czuła się zobowiązana do wyrażenia mu swojej wdzięczności.

Markiz słuchał jej z dziwnym wyrazem twarzy i w pewnej chwili powiedział:

- Proszę o tym zapomnieć, Roweno! Zapomnieć o urażonej ambicji! Zapomnieć o wdzięczności! I cieszyć się, przynajmniej przez chwilę, że jesteś bogata,

Podniosła na niego wzrok i zaprotestowała:

- Nie jestem niewdzięczna. Okazał się pan człowiekiem niezwykle wspaniałomyślnym i jeśli uda mi się umieścić Marka w jakiejś przyzwoitej szkole, będzie to pana zasługa.

- Mam zamiar porozmawiać o tym z pani ojcem.

- Dlaczego? - zdziwiła się Rowena.

Markiz nie odpowiedział i Rowena pomyślała, że uznał jej ciekawość za impertynencję. Ale powiedziała sobie, że widocznie markiz jest protektorem wielu szkół i że warto będzie skorzystać z jego wiedzy i doświadczenia.

Chociaż uznała jego wyjazd za pożądanym, a całą tę krzątaninę wokół przygotowań do wspólnej kolacji za absurdalną, tego wieczoru znacznie dłużej niż zwykle szykowała się do zejścia na dół. Miała tylko dwie wieczorowe suknie. Aksamitną należącą jeszcze do matki, nosiła w sezonie zimowym; drugą, z muślinu, latem. Uszyła ją sobie sama, wybierając najtańszy materiał, jaki można było znaleźć w pobliskim miasteczku. Kolor idealnie pasował do błękitu jej oczu. I chociaż ganiła się za rozrzutność, w wiejskim sklepiku kupiła parę metrów wstążki, aby wymienić stare przybranie aksamitnej sukni i nieco ją w ten sposób odświeżyć.

Rowena nie miała żadnej biżuterii, ale zanim poszła na górę, aby się przebrać, zerwała w ogrodzie dwa białe pączki róży. Przypięte do stanika sukni dodały jej elegancji, a roztaczając dookoła subtelną woń, podniosły uroczysty nastrój wieczoru. Była pewna, że markiz uzna jej uczesanie za staromodne, jednak nie zmieniła fryzury. Wyszczotkowała tylko starannie włosy, aż stały się jeszcze bardziej miękkie i lśniące.

Z rozbawieniem zauważyła, że Hermiona miała we włosach różową wstążkę kokieteryjnie związaną, na kokardę. Przypuszczała, że siostra kupiła ją idąc na lekcje do emerytowanej nauczycielki, która mieszkała w małym domu na skraju wioski. Była prawie pewna, że Hermiona dokonała tego zakupu na kredyt i że zaraz po wyjeździe markiza sklepikarz prześle im rachunek.

Zrobiliśmy wszystko, aby sprawić mu przyjemność, pomyślała, kiedy usiedli do stołu. Zastanawiała się, czy markiza, który był zawsze otoczony wytwornym towarzystwem, nie będą śmieszyły ich nieudolne wysiłki. Czasami podejrzewała, że markiz ich lekceważy - przepaść, jak ich dzieliła, była ogromna.

Rowena niewiele mówiła przy stole. Przez cały czas czuła obecność markiza i w duchu przyznawała, iż trudno byłoby znaleźć drugiego tak przystojnego i atrakcyjnego mężczyznę. Nie ulegało wątpliwości, że markiz również zrobił wszystko, aby ten ostatni w ich domu posiłek pozostał na zawsze w ich pamięci. Podano szampana i Rowena nie spuszczała z Marka i Hermiony oka, bojąc się, żeby nie wypili zbyt wiele i nie zachowywali się zanadto swobodnie. Dobrze wiedziała, że to musujące wino potrafi ośmielić każdego.

Kiedy oczekujący w pobliżu Johnson ponownie napełnił kielich swego pana, markiz, wzięwszy go do ręki, uroczyście zabrał głos:

- Chciałbym wznieść toast. Przede wszystkim za doktora Winsforda, któremu winien jestem wdzięczność nie tylko za uratowanie życia, ale również za gościnę pod jego dachem; a następnie za moją wspaniałą i prześliczną pielęgniarkę Rowenę!

Jego słowa ogromnie Rowenę zaskoczyły. Poczuła, że się czerwieni, i nie mogła sobie tego darować. Tymczasem

markiz odwrócił się w stronę Hermiony, która cały czas patrzyła na niego z uwielbieniem, i rzekł:

- Za przyszłą artystkę, której uroda i talent zawsze będą walczyły ze sobą o palmę pierwszeństwa. - Po czym, zwracając się do Marka, z uśmiechem dodał: - Oraz za jeźdźca, któremu życzę, aby pewnego dnia pokonał przeszkodę godną jego umiejętności.

Mark i Hermiona byli tym toastem zachwyceni i kiedy skończyli pić szampana, Rowena wstała od stołu, mówiąc:

- Myślę, tatusiu, że najwyższy czas, abyśmy teraz zostawili ciebie i jego lordowską mość samych,

- Ja również muszę już iść - rzekł doktor Winsford, spojrzawszy na zegarek. - Mam jeszcze dwa wezwania do pacjentów.

- Och, tatusiu! - z wyrzutem zawołała Rowena.

- Musi mi pan wybaczyć - powiedział doktor do markiza.

- Ale moi pacjenci czekają i nie chciałbym ich zawieść.

- Oczywiście - zgodził się markiz.

- Byłbym ci wdzięczny, Hermiono, gdybyś pojechała ze mną - dodał doktor Winsford, zwracając się do młodszej córki.

- Nie mogę pozostawić konia przed domem państwa Blakes bez opieki. Ostatnio, kiedy tam byłem z wizytą, przejechał ćwierć mili, zanim go złapałem.

- Zawiozę ciebie - odrzekła Hermiona, kierując pełne smutku spojrzenie w stronę markiza.

Mężczyzna, jakby rozumiejąc, co czuła, powiedział: - Jeśli pójdę do łóżka przed twoim powrotem, Hermiono, rano przed lekcjami przyjdź do mojego pokoju, aby się pożegnać.

- Na pewno przyjdę - odparła Hermiona. - Czuję, że wieczorem długo jeszcze będę siedziała i podziwiała moje wspaniałe pudło z farbami. - Markiz wstał. Hermiona jakby przez chwilę się wahała, po czym nagle wyrzuciła z siebie: - Dziękuję panu, milordzie. Jestem taka szczęśliwa!

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w policzek. I chociaż była to typowa reakcja dziecka dziękującego za otrzymany prezent, Rowena poczuła, że dzieje się z nią coś dziwnego, ale nie potrafiła tego wyjaśnić. Kiedy skierowała się do drzwi, idący za nią Mark konspiracyjnym szeptem zapytał:

- Jak myślisz, czy jutro rano, zanim markiz wyjedzie, będę mógł jeszcze raz przejechać się na jego koniu? Wziąłbym nową szpicrutę.

- Jeśli markiz zdecyduje się pojechać faetonem, to nie sądzę, aby jego służący specjalnie dla ciebie chciał wyprzęgać konia - odrzekła Rowena. - Ale jeśli rano zjawi się pan Ashburn, to być może pozwoli ci przejechać się na koniu zaprzęgniętym do jego landa. - Po chwili milczenia dodała: - Chyba że markizowi towarzyszyć będą forysie.

- Nie wydaje mi się. Do Swayneling Park jest przecież tak blisko - odparł Mark.

- Masz rację - przyznała Rowena. - A więc zobaczymy, co da się zrobić. - Wiedziała, że jej brat marzy, aby jak najszybciej wypróbować nową szpicrutę. Jednak wolała, aby konia, którym ojciec jeździł do pacjentów, zostawił w spokoju. - Lepiej będzie, jeśli teraz pójdziesz do siebie - dodała. - Jestem pewna, że masz jeszcze jakąś pracę domową do zrobienia. Pastor skarżył się w ubiegłym tygodniu, iż nie bardzo się przykładasz do nauki.

- Byłem zbyt zajęty jazdą - odburknął i twarz nagle mu posmutniała. - Kiedy markiz wyjedzie, będzie tu strasznie nudno, nie uważasz?

- Obawiałam się, że będzie ci go brakowało - odparła Rowena. - Ale nic nie możemy na to poradzić.

- Wiem o tym - z rezygnacją powiedział Mark. - I tak mieliśmy szczęście, że tak długo był z nami. - Mark powlókł się w stronę schodów, po czym zniknął w swoim pokoju.

Rowena weszła do saloniku, w którym często przesiadywała jej matka. Urządzony był skromnie, ale ze smakiem: duże francuskie okna wychodziły na ogród, co dodawało wnętrzu elegancji, której trudno było się doszukać w pozostałych pokojach tego skromnego domu.

Rowena zbliżyła się do otwartego okna i jakiś czas patrzyła na zapuszczony ogród. Ani jej ojciec, ani ona nie mieli czasu, aby nim się zająć. Jednak różom zdawało się to zupełnie nie przeszkadzać. Pięły się wzdłuż tarasu, tworząc wraz z kapryfolium i purpurową wistarią prawdziwy dziki gąszcz.

Słońce właśnie zachodziło i całe niebo skąpane było w ogniu. „Kiedy słońce zachodzi na czerwono, będzie pogoda”, Rowena przypomniła sobie ludowe porzekadło. Markiz pewnie z tego skorzysta i pojedzie swoim ulubionym feetonem, którego nie widział od chwili wypadku. Wyobrażała sobie, jak wspaniale będzie się prezentował w obcisłym stroju i ogromnym kapeluszu. Wkrótce odjedzie i pewien rozdział w ich życiu zostanie zamknięty. Już nigdy nie będą mieli tak dystyngowanego pacjenta, a ten skromny pokój tak niezwykłego lokatora. Myślała o tym, że ten człowiek nie tylko wniósł do ich domu nie znane dotąd idee, ale wzbudził w niej również uczucia i emocje, o których istnieniu nie miała nawet pojęcia. Nie potrafiła ich jeszcze sprecyzować, wiedziała tylko, że istnieją i że przebywając w towarzystwie markiza ona sama stała się zupełnie inną osobą.

- Wiele zaczynam dopiero rozumieć - szepnęła i słysząc, jak ktoś otwiera drzwi, odwróciła głowę.

Do pokoju weszła Hermiona. Najwyraźniej gotowa już była do wyjścia z ojcem: na głowie miała beret, a jej ramiona okrywał szal.

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego muszę jechać z tatą - zaprotestowała. - Wolałabym zostać.

- Nie możesz ojcu odmówić - zauważyła Rowena.

- Nie. Oczywiście, że nie - przyznała Hermiona. - Ale nie rozumiem, dlaczego tatuś pracuje tak ciężko. To absurdalne, aby właśnie teraz wychodzić z domu.

- Dobrze wiesz, że tata nigdy nie zaniedbuje swoich obowiązków - spokojnie oświadczyła Rowena.

- On jest taki cudowny, nie uważasz? - szepnęła Hermiona, ale to nie ojca miała w tej chwili na myśli.

- Jest bardzo uprzejmy - chłodno odrzekła Rowena.

- Musisz mi podpowiedzieć, co dla niego namalować - powiedziała Hermiona. - Chciałabym stworzyć coś tak pięknego jak te wspaniałe ilustracje, które ozdabiały rękopisy z jego drzewem genealogicznym.

- Powinnaś pomyśleć o czymś oryginalnym - zauważyła Rowena - a nie kopiować to, co inni stworzyli.

- Masz rację. Coś z pewnością wymyślę - odrzekła Hermiona i cichutko westchnęła. - Smutno nam będzie, kiedy on wyjedzie. Zawsze miał tyle ciekawych rzeczy do powiedzenia i tyle zdążyłam się od niego nauczyć.

Rowena w ostatniej chwili się powstrzymała, aby nie przyznać, że jej odczucia są takie same. Po chwili Hermiona, słysząc na dole gwar głosów, pospiesznie wybiegła z pokoju.

- Jedziemy - zawołał doktor Winsford.

- Jestem gotowa, tatusiu.

- Dobranoc, milordzie - zwrócił się doktor do markiza. - Proszę nie siedzieć zbyt długo. Nie chciałbym, aby jutro czuł się pan zanadto zmęczony.

- Postaram się - obiecał markiz.

Przez chwilę słychać było kroki zmierzające do wyjścia i odgłos zamykanych drzwi.

Rowena stała przy oknie, ale czuła się tak, jakby bała się głośniejszy oddychać. Tymczasem markiz wszedł do salonu i choć wiedziała, że idzie w jej kierunku, nie odwróciła głowy.

Stanął za nią podziwiając widniejącą na tle wieczornego nieba postać dziewczyny.

- Zupełnie sami, tylko ty i ja - powiedział cicho.

Wolno podniosła na niego oczy. Widząc, jak wyciąga coś z kieszeni swojej marynarki, nagle poczuła przyspieszone bicie swego serca.

- To jest dla ciebie prezent, Roweno - oznajmił markiz. - Chciałem ci go dać, kiedy wreszcie będziemy sami. - Mówiąc to, wsunął jej do ręki maleńkie pudełeczko.

Wzięła je machinalnie, ale czuła się tak onieśmielona, że nie miała odwagi ponownie spojrzeć na niego.

- Otwórz! - polecił jej markiz.

I wtedy dopiero uświadomiła sobie, że cały czas patrzy na trzymane w rękę pudełeczko. Wykonała jego polecenie. W środku leżał wisiołek w kształcie serca, wykonany z turkusów i obramowany diamentami.

- To ma być... dla mnie? - wykrztusiła.

- Skromny wyraz wdzięczności za to, co dla mnie uczyniłaś, Roweno.

- To jest... śliczne... Po prostu śliczne! - zawołała. - Ale nie powinien pan... - Umilkła, bo chociaż nie widziała jego twarzy, była przekonana, że markiz się uśmiecha,

- Czy znowu masz zamiar mówić mi, co powinienem, a czego nie? - zapytał. - Jesteś ogromnie apodyktyczna, Roweno, i zupełnie nie wiem, jak bym sobie poradził bez twoich ustawicznych pouczeń.

- To tylko dla pana dobra - nieśmiało powiedziała Rowena.

- Jestem o tym głęboko przekonany - odrzekł markiz. - Ale jednocześnie nie mogę się oprzeć wrażeniu, iż to, że jestem zdany na twoją łaskę i niełaskę, sprawia ci po prostu przyjemność. - Rowena nie odpowiedziała, więc po chwili milczenia dodał: - Nigdy nie zapomnę słodyczy twego głosu,

kiedy byłem tak chory, ani miękkości twoich ramion, kiedy podnosiłaś mi głowę.

To, co mówił, brzmiało niczym muzyka i Rowena czuła, jak jej całe ciało reaguje na dźwięk jego głosu. Wciąż patrzyła na wspaniały klejnot, jakby nie mogła uwierzyć, że to nie sen. Nigdy nie miała czegoś ani tak pięknego, ani tak drogiego.

- Wybrałem kształt serca - cicho powiedział markiz - ponieważ jest to szczególny symbol. - Rowena spojrzała na niego i wyraz jego oczu przeraził ją. Był przy niej tak blisko, że chociaż bardzo chciała, nie była w stanie oderwać od niego wzroku. - Zabrałaś mi serce, Roweno - rzekł markiz. - Czy zdajesz sobie z tego sprawę?

- Ja... nie... rozumiem. - Jej usta zdawały się z trudem wymawiać słowa.

- Czy mogę wobec tego powiedzieć to jaśniej, a jednocześnie podziękować ci, tak jak tego bym pragnął? - zapytał markiz.

Nagle, zanim się zorientowała, objął ją, a jego usta spoczęły na jej wargach. Przez chwilę była zbyt zaskoczona, aby odczuć coś więcej niż najzwyklejsze zdumienie. Po czym stwierdziła, iż nie jest już w stanie ani się poruszyć, ani o niczym myśleć. Jego usta zachłannie wpijały się w miękkość jej warg i Rowena poczuła, jak narasta w niej jakiś cudowny płomień i płynie przez jej ciało do mężczyzny, który ją obejmuje. To uczucie okazało się czymś cudownym. Było w nim wszystko: zachód słońca i zapach róż, pocałunki i drżenie jej serca.

Kiedy markiz przytulił ją mocniej do siebie, czuła, że nie jest już sobą, lecz częścią niego: jego ciała i duszy, myśli i uczynków, a nawet tej nieznośnej pewności siebie, z którą tak bez przerwy walczyła. Jego pocałunki stawały się coraz bardziej namiętne i Rowena miała wrażenie, jakby jakiś

niebiański ogień parzył jej usta, przebiegał ciało i zniewalał duszę. Wrażenie było tak niesamowite, a upojenie tak zniewalające, że odruchowo go objęła, jakby się bała, że może cokolwiek stracić z tego, co zdawało się pochodzić od Boga.

Markiz uniósł głowę.

- Jesteś taka piękna! - wyszeptał. - Tak niewyobrażalnie piękna! Kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy, myślałem, że śnię.

Rowena nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. Patrzyła na niego w milczeniu, oczy jej lśniły, a usta drżały od pocałunków i emocji, które w niej wzbudził.

- Kocham cię! - zawołał markiz. - A teraz wiem, że ty również mnie kochasz. - Niemal brutalnie przyciągnął ją do siebie. - Chociaż jeszcze nie tak, jak chciałbym, abyś mnie kochała - powiedział. - O, moja najdroższa. Jesteś taka słodka i taka niewinna. Nie miałem nawet pojęcia, że ktoś taki jak ty istnieje na tym świecie.

Znowu zaczął ją całować: gwałtownie i namiętnie, jakby chciał udowodnić, że należy wyłącznie do niego. Długo nie wypuszczał jej z objęć, a kiedy wreszcie ich usta się rozłączyły, powoli, nie mogąc jeszcze złapać tchu, Rowena wyszeptała:

- Ja... kocham cię... Teraz nareszcie... wiem, że to, co dawno do ciebie czułam... to właśnie miłość!

- Ale z nią walczyłaś - zauważył markiz.

- Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ciebie... kocham - odparła Rowena. - Wiedziałam tylko, że chcesz nade mną... panować... Bałam się, że... przestanę być... sobą.

- I tak się stało - powiedział z rozbijającą szczerością.

Ukryła głowę w jego ramionach, zafascynowana siłą nieznanych jej dotąd doznań. Czowała, jak jej ciało budzi się do życia i wyrzyna ku niemu.

Uniósł do góry jej twarz, zmuszając, aby spojrzała na niego.

- Czy wiesz, jaka jesteś śliczna? - zapytał. - Jak to możliwe, aby kobieta była aż tak piękna i miała oczy jak skrawek błękitnego nieba? - Mówiąc to, zaczął ją znowu całować: najpierw oczy, następnie maleńki, prosty nos, aż w końcu odnalazł drogę do ust. Całował ją tak długo, aż poczuła, że ogród wiruje wokół niej, a podłoga zapada się pod stopami.

W pewnej chwili markiz pociągnął ją w głąb pokoju.

- Usiądźmy, proszę - powiedział. - Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Ja... ja nie wiedziałam, że miłość może być... taka - nieśmiało zauważyła.

- To znaczy jaka? - zapytał markiz.

- Taka cudowna... taka wzniosła. Kiedy mnie całowałeś... zdawało mi się, że jesteśmy w niebie... tylko my i że słyszę anielską muzykę.

- Tego właśnie pragnę - rzekł markiz - być tylko z tobą, Roweno, i nauczyć cię wszystkiego, co wiem o miłości.

- Ponieważ nigdy nie byłam... zakochana, nie zdawałam sobie sprawy z tego, co czuję do ciebie - wyszeptała.

- I nigdy w nikim się już nie zakochasz - powiedział markiz. - Należysz tylko do mnie, Roweno, Będę zazdrosny o każdą twoją rozmowę z innym mężczyzną. - Po chwili ponownie patrząc jej w oczy dodał: - Czuję się jak badacz, który na szczycie góry odkrywa nieznany kwiat i dochodzi do wniosku, że to skarb, o jakim nie słyszał świat. - Roześmiał się. - Sprawiaś, Roweno, że stałem się poetą, chociaż nigdy nim dotąd nie byłem.

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Czy to prawda... czy to prawda, że ty... mnie kochasz? - z niedowierzaniem pytała.

- Od dawna cię kocham - rzekł. - Kiedy wychodziłaś z pokoju, czułem się tak, jakbyś zabierała ze sobą światło. Nie mogłem zasnąć. Wcale nie chciałem wyzdrowieć. Wyobrażałem sobie, że jesteś przy mnie, że słyszę twój głos i czuję dotyk twych rąk.

- Kiedy byłeś chory - odezwała się Rowena - traktowałam cię jak dziecko, które potrzebuje opieki, ale tego wieczoru... - Zawahała się.

- Co tego wieczoru? - zapytał markiz.

- Byłeś po prostu... mężczyzną i poczułam lęk.

- Lęk? - zawołał zdumiony markiz.

- Byłeś taki inny... Uświadomiłam sobie, że... wyjeżdżasz.

- A więc pragnęłaś mnie! - Zabrzmiało to tak jednoznacznie, że przez ciało Roweny przebiegł dreszcz, nie odpowiedziała mu jednak i markiz mówił dalej. - Nauczę cię, skarbie, pragnąć mnie tak, jak ja ciebie pragnę, i nie będziemy już więcej leżeć samotnie w ciemności i tęsknić za sobą.

Znowu zaczął ją całować i Rowenie się zdawało, że żar jego ust wznieca płomień, który powoli obejmuje ją całą. To uczucie było tak niesamowite, a jednocześnie tak cudowne, że chociaż budziło w niej lęk, chciała, aby trwało jak najdłużej. Markiz całował kąciki jej ust i dołeczki na policzkach. A kiedy pochyliwszy głowę zaczął całować jej szyję, jej doznania były jeszcze silniejsze i jeszcze wspanialsze.

- Kocham cię! - powtórzył markiz. - Nie potrafię myśleć o czymkolwiek innym, kocham cię i pragnę być tylko z tobą. W dzień i w nocy. Stałaś się dla mnie, najdroższa, sensem mego życia.

- Ale... wyjeżdżasz stąd... jutro.

Markiz uniósłszy głowę wyprostował się nieco, ale wciąż trzymał Rowenę w ramionach.

- Wiesz dobrze, że muszę wracać do domu - rzekł. - Ale uzgodnimy wszystko tak, abyśmy mogli być razem, nie sprawiając przy tym przykrości twemu ojcu.

- Rozstanie ze mną będzie bolesne dla niego - wtrąciła Rowena. - Jednak kiedyś i tak to nastąpi. - Uśmiechnęła się i szybko dodała: - Ale ja przecież nie mogę zostawić rodzeństwa bez opieki.

- Wiem o tym - rzekł markiz.

- Jestem przekonana, że pani Graham, która uczy Hermionę, z przyjemnością się do nas przeniesie. Wprawdzie nigdy z nią o tym nie mówiłam, ale jej dom jest bardzo mały i bardzo wilgotny, a ona cierpi na reumatyzm. Poza tym podziwia mojego ojca i z pewnością się nim zajmie.

- To znakomicie ułatwi nam zadanie - zauważył markiz.

- Jesteś... pewien... naprawdę pewien, że chcesz być ze mną?

- Czy muszę odpowiadać na tak niedorzeczne pytanie? - zapytał markiz i znowu zaczął ją całować, aż Rowena poczuła, że płonący w nim ogień ogarnia jej ciało. Po chwili jego pocałunki stały się mniej żarliwe i namiętne, za to bardziej delikatne i pieszczotliwe. - Jesteś taka młodziutka - powiedział miękko. - Nie chcę cię wystraszyć.

- Nie jestem... wystraszona - odrzekła Rowena. - To wszystko jest takie... doskonałe... takie cudowne! A może ja tylko śnię?

- Jeśli ty śnisz, to ja śnię również. - Pieszczotliwie dotknął jej twarzy, po czym tak mówił dalej: - Czy to możliwe, aby jakakolwiek istota była tak delikatna i słodka, a jednocześnie doprowadzała mężczyznę aż do takiego szaleństwa? O moja ukochana, jak długo będę musiał czekać, abyśmy byli razem?

- Proszę cię, bądź rozsądny - powiedziała szybko Rowena. - Pamiętaj, że jeszcze nie całkiem doszedłeś do zdrowia. Nie wolno ci się przemęczać.

- Nazywasz to przemęczaniem? - śmiejąc się zawołał markiz.

- To wszystko jest takie cudowne! Fascynujące! - odrzekła Rowena. - Ale tyle emocji może cię zmęczyć.

- Z pewnością, mój skarbie - zgodził się markiz. - Jednak to taka forma zmęczenia, która, jak sędzę, i tobie przypadnie do gustu!

Rowena nie rozumiała, co miał na myśli, ale czuła się zbyt szczęśliwa, aby prosić o wyjaśnienie. Ramiona markiza obejmowały ją, jego usta szukały jej warg. Pragnęła tylko jednego, aby znowu ją całował, wzbudzając uczucia, do jakich nigdy nie przypuszczała, że może być zdolna.

Z lekkim westchnieniem oparła głowę na jego ramieniu.

- Pragnę się tobą opiekować. I chociaż jesteś kimś tak ważnym, to może jednak mnie potrzebujesz.

- Potrzebuję cię z wielu powodów - odparł markiz. - Przede wszystkim dlatego, że jesteś częścią mnie i że nie wyobrażam sobie przyszłości bez ciebie.

- Jestem szczęśliwa, że tak to odczuwasz - wtrąciła Rowena. - Ale ty poznałeś tyle pięknych i ekscytujących kobiet. Być może po jakimś czasie... znudzisz się mną.

- Nigdy tak się nie stanie - rzekł markiz. - Zawsze będę się o ciebie troszczył i nigdy nie pożałujesz, że zdecydowałaś się na ten związek. - Pocałował ją w czoło i dodał: - A teraz na wypadek, gdyby twój ojciec wrócił wcześniej, niż się tego spodziewamy, musimy uzgodnić nasze plany. Myślałem już o tym.

- To znaczy o nas? - dopytywała Rowena.

- W ciągu ostatnich kilku dni nie byłem w stanie myśleć o niczym innym - odrzekł. - W końcu doszedłem do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie powiedzieć twojemu ojcu, iż zaproponowałem ci wyjazd do Londynu w charakterze damy do towarzystwa jednej z moich kuzynek.

Rowena znieruchomiła. Czuła, że całe jej ciało wciąż jeszcze tkwiące w objęciach markiza nagle sztywnieje, jakby zamieniało się w sople lodu. Po chwili z trudem wykrztusiła:

- C - co powiedziałaś?

- Usiłowałem znaleźć wiarygodne uzasadnienie dla twojego wyjazdu do Londynu - odrzekł markiz. - Oczywiście nie ma tam żadnej mojej krewnej. W Chelsea mam bardzo ładny dom, który jest już przygotowany na twoje przyjęcie. Będziesz miała do dyspozycji dwóch służących, a ja obiecuję ci, że będziemy się tam spotykać tak często, jak to tylko możliwe. - Przez cały czas patrzył na nią, ale oczy dziewczyny utkwione były w splecionych konwulsyjnie dłoniach. Wyglądała bardzo młodo, prawie dziecinnie. - Powiniennem był wytłumaczyć ci, że w moim świecie miłość i małżeństwo to dwie zupełnie różne sprawy. Wiem, co czujesz, Roweno. Ale musisz mi wybaczyć, że cię zraniłem. Nigdy nie miałem takiego zamiaru. - Rowena wciąż milczała i markiz po chwili wahania dodał: - Widziałaś moje drzewo genealogiczne i wiesz, jaką wagę przywiązuję do moich przodków. To tak, jakbym przychodząc na świat, miał zakodowany w genach święty obowiązek zachowania rodu. - Wciągnął głęboko powietrze, po czym mówił dalej: - Kiedy w grę wchodzi małżeństwo, nie ma miejsca na uczucie. To kwestia zachowania czystości krwi, przedkładania interesu rodziny ponad wszystko i postępowania zgodnego z zasadami dziedzictwa. - Markiz przerwał na chwilę, po czym kierując się w stronę Roweny, ciągnął: - Chcę, abyś mnie dobrze rozumiała, najdroższa. To, co czuję do ciebie, nie ma nic wspólnego z tym, co będę czuł do mojej przyszłej żony. Wiele jeszcze lat minie, zanim zdecyduję się na zawarcie związku małżeńskiego. A kiedy już to się stanie, będzie to klasyczny mariage de convenance, tak często zawierany we Francji.

Z nadludzkim wysiłkiem Rowena wyswobodziła się z jego ramion.

- Ja... ja wciąż nie... rozumiem. - Jej głos zabrzmiał żałośnie.

Markiz uważnie spojrzał jej w oczy, po czym nagle wstał, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że Rowena go nie rozumie.

- Nie miałem zamiaru cię oszukać - powiedział. - Ja... ja... myślałam... - usiłowała coś mówić Rowena.

Markiz przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy oknie, gdzie tak niedawno stała Rowena. Po czym oparłszy się o framugę, w zamyśleniu patrzył na ogród.

- To jest trudniejsze, niż przypuszczałem - rzekł po chwili. - Zapomniałem, jaka jesteś młoda, niewinna i jak mało wiesz o życiu.

Rowena wciąż siedziała na sofie. Jej zimne jak sople lodu dłonie były mocno zaciśnięte.

- Czy chcesz... powiedzieć... czy doprawdy... chcesz powiedzieć, że mnie... nie kochasz?

- Nie, wcale nie to miałem na myśli - odrzekł markiz. - Kocham cię tak, jak nigdy nie kochałem żadnej innej kobiety, ale nie mogę zaproponować ci małżeństwa.

Mówił bardzo cicho, ale Rowenie się zdawało, że słyszy dźwięk dzwonów pożegnalnych, który echem odbija się od ścian pokoju. Czowała, że całe jej ciało staje się tak zimne jak jej dłonie, a serce zamienia się w bryłę lodu.

- A więc... co mi zaproponowałeś? - wymamrotała.

- Prosiłem cię, abyś zgodziła się być ze mną, ponieważ cię kocham i jak sądzę, ty również mnie kochasz - odrzekł. - Możemy być razem bardzo, bardzo szczęśliwi, Roweno! - Podszedł do siedzącej na sofie Roweny i usiadł przy niej. - Tymczasem - ciągnął po chwili - będziemy razem szczęśliwi. Zabezpieczę cię finansowo na całe życie. Dam ci wszystko

oprócz nazwiska. I wierzę, ponieważ bardzo się kochamy, że nie zaważy to na twojej decyzji. Dla nas obojga najważniejsza jest nasza miłość.

- Taka miłość jest... zła i... grzeszna! - Rowena mówiła bardzo cicho, a jednak markiz słyszał każde słowo.

- Kto ma prawo oceniać, co jest złe, albo grzeszne? - zapytał. - To, co czujemy do siebie, może być tylko dobre i szlachetne. - Mówiąc to wyciągnął rękę i nakrył nią wciąż splecione dłonie Roweny. Palce miała lodowate, a jej ciało przebiegł dreszcz i markiz nie miał wątpliwości, że sprawił to jego dotyk. - Kochasz mnie - rzekł. - Kochasz mnie tak, jak jeszcze nikogo na świecie nie kochałaś. Jestem pierwszym mężczyzną, który cię pocałował, i teraz należysz do mnie, całkowicie i bez reszty. Spróbuj zrozumieć, Roweno, że chcę ci ofiarować wszystko, wszystko, czego możesz zapragnąć. Poznamy szczęście, jakie może być udziałem tylko nielicznych wybrańców losu, do których my należymy.

- Ale... to właśnie byłoby... złem.

- Nic nie jest złem, jeśli nie rani innych - odrzekł markiz. - Powiedziałem ci przecież, że ani twój ojciec, ani Hermiona nie dowiedzą się, co naprawdę robisz w Londynie. Będą otrzymywali mnóstwo pieniędzy, dzięki którym stać ich będzie na luksusy.

- A jeśli dowiedzą się, że... ich oszukałam... jak sądzisz, co wtedy o mnie... pomyślą? - zapytała Rowena.

- Obydwoje jesteście wystarczająco inteligentni, aby nie dopuścić do plotek - odrzekł markiz. - Nikt o niczym się nie dowie, obiecuję ci to!

- Ale ja będę o tym wiedziała. - W jej głosie zabrzmiał ból. Wyprostowała się i uniosła do góry głowę. - Ja będę o tym wiedziała - powtórzyła. - I nie potrafię spojrzeć w twarz mojej rodzinie!

Mówiąc to wstała gwałtownie, odsuwając ręce markiza. Stała przed kominkiem, zaczerpnęła głęboko powietrza, jakby chciała odzyskać siły, po czym wolno i dobitnie powiedziała:

- Kocham cię. Myślę, że zawsze będę cię kochała... Ale nie mogę... postąpić tak, jak tego... oczekujesz.

- Dlaczego? - zapytał markiz. - Dlaczego chcesz odrzucić coś, za czym obydwójce tęsknimy i czego pragniemy całym sercem, duszą i ciałem? - Po chwili patrząc jej w oczy dodał: - Kierujesz się konwenansami, które czynią cię ślepą na fakt, iż taka miłość jak nasza zdarza się tylko raz w życiu. Mówisz, że mnie kochasz, i sądzę, że to prawda. Ja kocham cię miłością szaleńca. Wiem, że mnie pragniesz. Ja nie mogę bez ciebie żyć. Czy możesz to wszystko odrzucić tylko dlatego, że cel, do którego dążysz, jest nieosiągalny?

- Tak, mogę! - powiedziała z determinacją Rowena. - Trudno mi uwierzyć, że mogłam poczuć coś do ciebie poza chwilowym zauroczeniem, zainteresowaniem, które winno było umrzeć, zanim się narodziło. To nie jest miłość, milordzie... a przynajmniej nie ta prawdziwa!

- To absurd! Wypowiadasz się o czymś, o czym nie masz zielonego pojęcia! - zaprotestował. - Ja naprawdę cię kocham, Roweno. Kocham całym sercem. To, że nie mogę cię poślubić, wcale nie znaczy, iż nie jestem gotów poświęcić tobie całego życia. Jestem gotów! Dlaczego żądasz czegoś więcej?

- Z pewnością chciałeś powiedzieć: Jak śmiem żądać czegoś więcej! - zawołała Rowena i tym razem w jej głosie zabrzmiało oburzenie. - Ja... skromna córka prowincjonalnego lekarza, powinnam się czuć zaszczycona już samym faktem, iż taki arystokrata jak ty zechciał zwrócić na mnie uwagę! A więc dobrze, milordzie, ja śmiem powiedzieć, że miłość, którą

mi oferujesz, mnie nie wystarcza. Bardzo mi przykro, ale uważam ten temat za zamknięty.

Odwróciła się w stronę drzwi, ale zanim do nich dotarła, markiz porwał ją w ramiona i zaczął gwałtownie całować. Na początku jego wargi, zaborcze i pożądliwe, sprawiały jej ból. Po chwili, chociaż starała się przed nimi bronić, chociaż z nimi walczyła, dreszcz przebiegł jej ciało i poczuła, że słabnie.

Teraz jego pocałunki stały się delikatniejsze, ale jednocześnie bardziej namiętne. Czowała, jakby chciał zapanować nie tylko nad jej ciałem, ale również nad jej duszą. Jakby chciał ją z niej wydrzeć i uczynić na zawsze swoją. Wiedziała, że chce ją pokonać, złamać jej opór całą siłą swej woli i umysłu, aby w końcu uczyniła to, czego od niej żąda. Przez chwilę wszystko wskazywało na to, że jego plan się powiedzie. Namiętność, jaką markiz w niej obudził, zdawała się paraliżować nie tylko jej ciało, ale również i myśli.

Nagle zeszywniała. Zaskoczony tym markiz, wypuścił ją z objęć i Rowena nareszcie była wolna. Nie odezwała się do niego ani słowem. Otworzyła drzwi i wybiegła z salonu, zanim zdążył ją zatrzymać. Łzy niepowstrzymanym strumieniem spływały jej po twarzy, kiedy potykając się na schodach usiłowała jak najszybciej dotrzeć do swego pokoju.

Rozdział 4

Wracając ze wsi Rowena skręciła na wąską, zarośniętą ścieżkę, która prowadziła aż do domu... i wtedy z biciem serca ujrzała stojący tuż przed drzwiami frontowymi faeton. Nie było sensu zgadywać, do kogo należy ten czarnożółty powóz z lśniącymi srebrem okuciami i wspaniałą czwórką koni. Pacholek w nasuniętym zawadiacko kapeluszu i wysokich żółtych butach stał tuż obok koni i Rowena domyśliła się, że markiz jest wewnątrz domu.

Kiedy cztery dni temu odjeżdżał do Swayneling Park, Rowena była przekonana, że nigdy już więcej go nie zobaczy, pogodziła się z tym. Postanowiła nawet, że nie wyjdzie, aby się z nim pożegnać. Ale markiz to przewidział.

Po bezsennej nocy, kiedy Rowena leżała w łóżku zalewając się łzami, zdesperowana tak, jak nie zdarzyło się jej to od lat, nastał świt, a wraz z nim przyszło otrzeźwienie. Dała wreszcie o sobie znać urażona duma dziewczyny. Powiedziała sobie, iż nie pozwoli, aby markiz zauważył, jak bardzo czuje się zraniona i nieszczęśliwa.

Czuła jednak, że on tak szybko nie ustąpi i że będzie usiłował wpłynąć na zmianę jej decyzji. Był w nim jakiś nieprawdopodobny upór i żelazna konsekwencja, dzięki którym zawsze realizował postawiony sobie cel. Mimo to Rowena nie zamierzała ustąpić. Postanowiła, iż bez względu na to, jak bardzo będzie cierpiała, nigdy nie zostanie jego utrzymanką.

- Kocham go! Kocham! - łkała do poduszki.

Ale nawet to nowe, niezwykle silne uczucie, które dopiero co się w niej narodziło, nie było w stanie zniszczyć jej wrodzonej umiejętności odróżniania dobra od zła i świadomości, jak bardzo jej matkę zaszokowałyby propozycja markiza.

Pomimo iż Rowena starała się być realistką, to jednak idealizm i romantyzm towarzyszyły jej przez całe życie. Jej rodzice byli ze sobą ogromnie szczęśliwi. W ich świecie liczyła się przede wszystkim wzajemna miłość i Rowena wyobrażała sobie, że kiedyś spotka mężczyznę, którego obdarzy podobnym uczuciem. Wciąż miała w pamięci sceny świadczące o tym, jak niezmiernie wzruszająca i głęboka była miłość jej matki do ojca.

Pani Winsford miała zwyczaj nadśluchiwać turkotu kół jadącego aleją powozu i jeśli akurat spodziewała się powrotu małżonka, rzucała wszystko i biegła do drzwi frontowych, aby go powitać, gdy tylko wysiądzie ze swojej dwukółki. Po czym objęci ramionami wchodzili do domu i całowali się w hallu z tkliwością i przywiązaniem widocznym w każdym ich geście.

- Jesteś taka piękna, moja najdroższa - usłyszała kiedyś Rowena głos ojca - że za każdym razem, gdy patrzę na ciebie, myślę, iż jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. - Po czym ojciec śmiejąc się dodał: - Ludzie uważają, że jestem biedny, ale ja przecież posiadam największy skarb na świecie: Ciebie!

W miarę dorastania Rowena coraz częściej myślała o miłości. Marzyła, że pewnego dnia jakiś mężczyzna spojrzy na nią tak, jak jej ojciec patrzył na matkę, i że jego głos, kiedy do niej przemówi, będzie równie głęboki i czuły. Nigdy nie przypuszczała, że miłość przyjdzie do niej w postaci kogoś tak niezwykłego jak markiz.

Teraz powiedziała sobie, iż to było do przewidzenia, że taka prowincjuszka jak ona po dziewiętnastu latach życia w surowych i skromnych warunkach beznadziejnie i bez reszty się zakocha.

- Powinam była wiedzieć, że to co on do mnie czuje, to nie miłość, lecz coś zupełnie innego - powiedziała do siebie z goryczą.

Żeby nie wiem jak była naiwna, jako córka lekarza nie mogła nie wiedzieć, jakie tragedie się zdarzały nawet w tak małej wiosce jak Little Powick.

Były dziewczyny z niechcianymi ciążami; żony bite przez swoich mężów; kobiety przyłapane na zdradzie z innym mężczyzną; a nawet zdarzyło się samobójstwo, które ogromnie Rowenę poruszyło. Pamiętała śmierć młodziutkiej, ślicznej dziewczyny, prawie dziecka, uwiedzionej przez pewnego dosyć prymitywnego osobnika zatrudnionego w miejscowym barze. Mężczyzna był żonaty, ale fakt ten zdawał się nie mieć dla niego żadnego znaczenia. Cała wieś wiedziała o jego romansie z dziewczyną i o ich spotkaniach nad rzeką ale nikt nie odważył się zareagować. Nawet pastor zachował w tej sprawie milczenie. To była krótkotrwała i burzliwa przygoda, która mężczyźnie dosyć szybko się znudziła. Powrócił do swoich wulgarnych przyjaciółek w barze, a porzucona dziewczyna utopiła się, kiedy uświadomiła sobie, że nosi jego dziecko.

Ta tragedia wywołała na wsi taki wstrząs i potępienie dla uwodziciela, że zmuszony był przenieść się do innej miejscowości. Niestety nie wróciło to życia nieszczęsnej ofierze, a ponieważ sama odebrała sobie życie, nie wolno jej było pochować na przykościelnym cmentarzu.

„Jeślibym zgodziła się na to, czego oczekuje ode mnie markiz - pomyślała Rowena - nie byłabym lepsza od biednej Bessie i mogłabym skończyć tak jak ona". Postanowiła więc, że więcej się z nim nie zobaczy. Nie miała nawet ochoty się z nim pożegnać.

Ale kiedy nadszedł moment odjazdu, markiz polecił Johnsonowi, aby ją odszukał. Rowena skryła się w pokoju Marka, gdzie zajęła się przeglądaniem jego ubrań, wyciągając z kieszeni spodni dziesiątki różnych dziwnych przedmiotów i odkładając rzeczy, które wymagały reperacji.

- Nareszcie panienkę znalazłem - zawołał Johnson, stając w drzwiach. - Jego lordowska mość chciałby się z panienką pożegnać.

Rowena wciągnęła powietrze.

- Czy doktora nie ma w domu? - zapytała. Johnson pokręcił przecząco głową.

- Nie, panienko. Wyjechał przed godziną pożegnawszy się przedtem z jego lordowską mością.

Rowena miała wielką ochotę przekazać wiadomość, że nie może zejść na dół, ale doszła do wniosku, że taka nieuprzejmość z pewnością zdziwiłaby Johnsona, a markiz poczułby się dotknięty. W wojnie, którą sobie wypowiedzieli, nie ustąpiła dotąd nawet na krok. Teraz nie miała jednak wątpliwości, że markiz, aby ją zwyciężyć, użyje każdej dostępnej mu broni. Wciąż w uszach miała jego słowa: „Zawsze osiągam to, na co mam ochotę”. Tym razem spotka go rozczarowanie! I ona się o to postara.

- Zaraz zejść - powiedziała do służącego, obrzucając szybkim spojrzeniem swoje odbicie w lustrze.

Była bardzo blada, a pod jej oczami widać było cienie po nie przespanej nocy i wylanych łzach. Aby swoim wyglądem nie dać markizowi satysfakcji, gwałtownie potarła policzki, aby nabrały bardziej naturalnego koloru. Po czym uniósłszy do góry głowę, zeszła na dół.

Markiz czekał na nią w hallu. Rowena nie podnosząc wzroku, złożyła głęboki ukłon i powiedziała:

- Bardzo się cieszę, że podróż waszej lordowskiej mości odbywać się będzie przy tak pięknej pogodzie. Jestem przekonana, że mój ojciec zalecił panu odpoczynek po przyjeździe do domu. Obawiam się tylko, milordzie, że po tak długiej przymusowej bezczynności uzna to pan za wyjątkowo ciężką próbę.

Z satysfakcją pomyślała, że jej głos zabrzmiał chłodno i obojętnie. Ale kiedy Johnson wyszedł z hallu i została z markizem sama, nagle poczuła, jak jej serce bije niespokojnie.

- Mam wobec ciebie, Roweno, ogromny dług wdzięczności - odezwał się markiz.

- Uważam, że wszystko zostało już powiedziane, milordzie - zauważyła Rowena. - Powtórzę tylko, jak bardzo się cieszę, iż mojemu ojcu udało się pomóc panu odzyskać zdrowie.

Markiz zrobił krok w jej stronę,

- Roweno!

Zadrżała na dźwięk jego głosu, ale odwróciła się gwałtownie i skierowała w stronę wyjścia. Po chwili stała już na schodach, obserwując faeton, wspaniałe konie, pachołka trzymającego lejce i lokaja czekającego, aż markiz zajmie miejsce w powozie.

- Chcę z tobą porozmawiać - usłyszała za sobą cichy głos.

- Żegnam, milordzie! Życzę panu przyjemnej podróży i dużo, dużo zdrowia!

- Au revoir, Roweno - cicho odpowiedział markiz i kiedy zapadło kłopotliwe milczenie, nie pozostawało mu już nic innego jak tylko wsiąść do powozu.

- Czy jego lordowska mość życzy sobie przejąć wodze? - zwrócił się do niego pachołek.

- Na razie dziękuję, Sam - odrzekł markiz. Pachołek zasalutował, lokaj wskoczył na tył faetonu i konie ruszyły. Markiz uniósł kapelusz, przez cały czas mając wzrok utkwiony w twarzy Roweny. Ale jej oczy najwyraźniej celowo skierowane były w zupełnie inną stronę.

Kiedy jednak powóz odjechał dostatecznie daleko, po raz ostatni obrzuciła wzrokiem szerokie ramiona markiza oraz jego dumnie uniesioną głowę i łzy napłynęły jej do oczu. Weszła do domu i wolno zamknęła za sobą drzwi.

- Wszystko skończone! Skończone! - wyszeptała i nagle poczuła się opuszczona i nieszczęśliwa.

Po wyjeździe markiza Rowena robiła wszystko, aby o nim zapomnieć. Najtrudniej przychodziło jej to w nocy. Zalewając się łzami, przypominała sobie, jak się czuła, kiedy brał ją w ramiona i marzyła o jego pocałunkach.

Tak jak się tego spodziewała, całej rodzinie trudno było znowu przyzwyczać się do życia, jakie wiedli, zanim pojawił się u nich markiz.

- Mam dosyć tego wstrętnego jedzenia - zawołała kiedyś Hermiona podczas lunchu.

- Na lepsze nie stać nas teraz - ostro zwróciła jej uwagę Rowena. - Im szybciej to zrozumiesz, tym będzie dla ciebie lepiej!

Hermiona westchnęła.

- Oby markiz miał znowu wypadek albo żeby tatuś znalazł jakiegoś innego bogatego pacjenta.

- Co tam jedzenie - rzucił ponuro Mark. - Mnie chodzi o konie. Myślę, że już nigdy nie będę miał okazji jeździć na takich, jakie miał markiz.

- Natychmiast przestańcie! - krzyknęła Rowena. - A ty, Mark, przyjmij do wiadomości, iż jeśli jeszcze raz usłyszę od pastora, że się nie uczysz, zmuszona będę porozmawiać o tym z ojcem. Chyba nie muszę ci mówić, że bardzo go to zmartwi.

Rowena wiedziała, że to był jedyny argument, który trafił do jej rodzeństwa. Wszyscy bardzo ojca kochali, a ponieważ nigdy się na nich nie gniewał, największą dla nich karą było, kiedy widzieli na jego twarzy smutek i cierpienie.

Mark wyszedł z pokoju, mamrocząc coś pod nosem. Natomiast Hermiona, spokojnie skończywszy porcję ryżowego puddingu, powiedziała:

- Mark ma rację. Zrobiło się tu okropnie, kiedy markiz wyjechał. Jestem pewna, że ty też tak uważasz, tylko nie chcesz się do tego przyznać. Nawet widać to już po tobie!

- Nic podobnego! - gwałtownie zaprzeczyła Rowena. - Lepiej będzie, jak się pospieszysz. Jeśli zaraz nie wyjdiesz, spóźnisz się do pani Graham. Wiesz dobrze, Hermiono, ile wyrzeczeń kosztują nas te lekcje.

- Chcę się uczyć rysunku - zaprotestowała Hermiona - a pani Graham nie potrafi nawet narysować zwykłej kreski. - Rowena nic nie odpowiedziała i Hermiona po chwili dodała: - Nie oczekuję od ciebie zrozumienia. Sądzę, iż jesteś po prostu zazdrosna, ponieważ markiz podarował mi taki wspaniały prezent, a ty nic nie dostałaś.

- Pospiesz się, Hermiono. W przeciwnym razie z pewnością się spóźnisz. - Rowena starała się mówić spokojnie, ale widocznie coś szczególnego było w jej głosie czy wyrazie twarzy, ponieważ Hermiona nieoczekiwanie zarzuciła jej rękę na szyję.

- Przepraszam, Roweno - zawołała. - Tak bardzo cię kocham. To nieładnie ze strony markiza, że nie dał ci prezentu. Postaram się trochę zaoszczędzić i kupić ci to, co zechcesz.

- Dziękuję ci, najdroższa - wykrztusiła Rowena, ale Hermiony już nie było.

Czuła się winna, kiedy pomyślała o turkusowym wisiorku, który ukryła głęboko w szufladzie w swojej sypialni. Nie mogła nikomu powiedzieć o takim prezencie, nie miała nawet odwagi na niego popatrzeć. Zastanawiała się, czy nie powinna zwrócić go markizowi, ale stwierdziła, że nie byłoby to najlepsze rozwiązanie.

Często sama śmiała się z ludzi, którzy zrywając zaręczyny odsyłali sobie nawzajem listy i prezenty.

- Thomas Seaton wydał fortunę, aby zdobyć względy Betty - opowiadała kiedyś Hermiona o zerwanych niedawno w wiosce zaręczynach. - Ale wszystko poszło na czekoladki! Trudno by było je zwrócić, nie uważasz?

„Któregoś dnia sprzedam ten wisiołek - postanowiła Rowena. - I kupię coś za to Hermionie albo Markowi". Nie miała jednak odwagi otworzyć pudełka z turkusem w kształcie serca, o którym markiz powiedział, że jest dla niego symbolem.

I oto teraz markiz znowu zjawił się u nich i pewnie na nią czekał.

Szła ścieżką, ale im była bliżej domu, tym jej kroki stawały się wolniejsze. Zastanawiała się, jak powinna zareagować. O zaszyciu się gdzieś wewnątrz domu nie mogło być mowy. Zbyt szybko by ją odkryto. Poza tym nie chciała wzbudzić w rodzinie podejrzeń, że miała ku temu jakieś powody. Wiedziała, że ani Hermiona, ani nawet jej ojciec nie daliby jej spokoju, dopóki nie dowiedzieliby się prawdy. Nie mogła im nic powiedzieć. Słowa nie przeszłyby jej przez gardło.

„Będę się zachowywała naturalnie - postanowiła. - Nie ukryję się ani nie pokażę po sobie, jak bardzo cierpię. Nie sprawię mu tej satysfakcji". Po chwili pomyślała, że słowo „cierpię" w żadnej mierze nie oddawało tego, co naprawdę czuła. Rozpacz, przygnębienie były tu z pewnością bardziej odpowiednie. A może należałoby powiedzieć, że obrócił wniwecz jej ideały i zniszczył wiarę w szczęście.

„Każdego mężczyznę, który w przyszłości pojawi się w moim życiu, zawsze będę porównywała z markizem" - pomyślała. Wiedziała również, iż żaden inny mężczyzna nie wzbudzi w niej uczucia takiego zachwytu i upojenia jak markiz, ponieważ coś takiego zdarza się w życiu tylko raz.

Matka powiedziała jej pewnego razu:

- Kiedy w twoim życiu pojawi się ten oczekiwany mężczyzna, kiedy się zakochasz tak jak ja w twoim ojcu, będziesz wiedziała, że to jest twoje przeznaczenie, i nic już nie będzie w stanie ani tego zniszczyć, ani zmienić. - Pani Winsford westchnęła głęboko. - Twój ojciec i ja byliśmy sobie przeznaczeni od początku świata i kiedy pisano w gwiazdach, iż będziemy się kochać aż do śmierci.

„To właśnie czuję do markiza - pomyślała Rowena. - Ale ponieważ on nie czuje tego samego do mnie, nie ma przed nami wspólnej przyszłości". Kiedy doszła do stojącego przed domem powozu, trzymający konie pacholek zdjął przed nią kapelusz. Poznała Sama, który wiele razy przyjeżdżał do nich, kiedy markiz był chory.

- Dzień dobry, Sam - powiedziała Rowena. - Jaki wspaniały zaprzęg.

- Jego lordowska mość okropnie jest z niego dumny, panienko - rzekł chłopak. - Przyjechaliśmy dziś szybciej niż kiedykolwiek przedtem, ale to jaśnie pan sam powoził. - Duma go wprost rozpierała i Rowena, wchodząc po schodach do domu, uśmiechnęła się do niego.

Kapelusz markiza leżał na krześle w hallu. Na jego widok Rowena zatrzymała się, próbując odgadnąć, gdzie też może być jego właściciel. Po chwili usłyszała dobiegające z gabinetu ojca głosy i z ulgą stwierdziła, że jej ojciec jest w domu.

Miała właśnie zamiar iść na górę, kiedy nagle drzwi się otworzyły.

- Byłem pewien, że słyszę twój głos, Roweno. Mamy gościa! - zawołał doktor Winsford.

- Co za niespodzianka! - uszczypliwie zauważyła Rowena.

Kiedy weszła do gabinetu, markiz stał tyłem do kominka. Chociaż powiedziała sobie, że on już nic dla niej nie znaczy,

to jednak serce znowu zaczęło jej mocniej bić i czuła, że braknie jej tchu.

- Dzień dobry, Roweno - odezwał się markiz. - Miałem nadzieję, że zanim stąd wyjadę, zdążę się jeszcze z panią zobaczyć.

- Nie wolno mi waszej lordowskiej mości zatrzymywać.

- Uważam, milordzie - rzekł doktor Winsford - że powinniśmy powiedzieć Rowenie o pańskiej wspaniałomyślności. Trudno mi wprost uwierzyć, że są jeszcze tacy ludzie.

Rowena gwałtownie spojrzała na ojca.

- Co się stało?

- Jego lordowska mość poinformował mnie, iż pragnie finansować szkołę Marka i Hermiony. Uważa, że Mark jest wyjątkowo zdolnym chłopcem, o czym zresztą sam również byłem przekonany. Jeśli natomiast chodzi o Hermionę, to musimy się upewnić, czy rzeczywiście ma talent do rysunku, czy też nie.

- Moim zdaniem to tylko jej imaginacja - chłodno zauważyła Rowena.

- Poznamy prawdę, ponieważ jego lordowska mość ma zamiar wysłać ją do szkoły we Florencji, gdzie będzie miała najlepszych nauczycieli, jakich można znaleźć we Włoszech.

- Do Florencji?! - wykrzyknęła Rowena i wyzywająco spojrzała na markiza.

Dobrze wiedziała, do czego on dążył. Usiłował zjednać do siebie całą jej rodzinę, skoro z nią mu się to nie udało. Przywiązywał ich do siebie nicią silniejszą niż stal. Jego nić była bardziej misterna i wyrafinowana.

- Zrobiłem rozeznanie - rzekł markiz - i dowiedziałem się, że najlepsza szkoła dla młodych panienek w wieku Hermiony jest właśnie we Florencji. Jedna z moich siostrzenic wyjeżdża

tam w przyszłym roku i jeśli Hermiona zacznie naukę we wrześniu, będzie mogła pojechać razem z nią

- Zgodziłeś się na to, tatusiu? - zapytała Rowena drżącym głosem.

- Z początku miałem poważne wątpliwości, czy wolno mi tak nadużywać dobroci mego eks - pacjenta - odrzekł doktor Winsford. - Ale markiz mnie przekonał, iż nie powinienem stawać na drodze, która wiedzie do lepszej przyszłości moich dzieci.

- Jestem pewna, że jego lordowskiej mości nie zabrakło argumentów - dodała uszczypliwie Rowena.

- Od dawna martwiłem się o edukację Marka - przyznał doktor. - Pastor mówił mi, że chłopak ma bystry umysł i że jest nad wiek rozwinięty. I jeśli pójdzie do Eton, będzie miał taki start w życiu, jakiego ja nigdy nie byłbym w stanie mu zapewnić.

- Do Eton? - zdumiała się Rowena.

Czuła, że brakuje jej powietrza, ściągnęła więc z głowy beret i podeszła do okna.

Słońce zdawało się tworzyć nad jej głową złotą aureolę, ale ona jakby zupełnie tego nie dostrzegała. Stała w milczeniu i błędnym wzrokiem patrzyła na ogród. Gorączkowo myślała, co powinna powiedzieć, jak ustrzec ojca przed tak sprytnie zastawianą przez markiza pułapką. Jak ośmiornica wyciągnął do nich swoje macki i zanim się zorientują, nie będzie już ucieczki.

- Dobrze rozumiem twoje zaskoczenie, Roweno - rzekł doktor Winsford. - Tak wspaniale opiekowałaś się całą rodziną po śmierci mamy, iż doprawdy zupełnie nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. - Objął ją. - Ale teraz, moja droga, obydwójce, i Hermiona, i Mark, mają szansę zdobyć wykształcenie, o jakim dla nich nie mogłem nawet zamarzyć.

- Tak... tatusiu. - Rowena obawiała się, że nie zdoła wydobyć z siebie głosu, ale jakoś się przemogła.

Doktor Winsford odetchnął z ulgą, jakby się bał, że Rowena nie zgodzi się z jego decyzją. Spojrzał na stojący na kominku zegar.

- Mam nadzieję, że wasza lordowska mość mi wybaczy - powiedział. - Jestem już spóźniony, a tyle jeszcze przede mną wizyt.

- Oczywiście! - z galanterią odrzekł markiz. - Opowiedziałem, doktorze, moim licznym przyjaciom w hrabstwie, jak wspaniale się pan mną zajmował. Myślę, że już wkrótce będzie pan miał o wiele więcej pacjentów.

- To bardzo uprzejme z pana strony, milordzie. - Obaj mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. - Wygląda pan znakomicie - zauważył doktor. - Ale proszę na siebie uważać. Wprawdzie przy tak poważnych wewnętrznych obrażeniach miał pan wiele szczęścia, ale kilka dni czy nawet tygodni nie wystarczy, aby po czymś takim w pełni wrócić do zdrowia.

- Przrzekam, że będę postępował zgodnie z pańskimi zaleceniami.

- Miło mi to słyszeć.

- Wrócę tu jutro, najdalej za dwa dni, i przywiozę papiery, o których mówiliśmy - dodał markiz.

- Będę na pana czekał - odrzekł doktor.

Kiedy wychodził z pokoju, wyglądał na uszczęśliwionego. Rowena zdawała sobie sprawę, jak ogromny ciężar zdjął markiz z jego barków. Jednak tylko ona wiedziała, co tak naprawdę się pod tym kryło.

Zaczekała, aż ojciec wyjdzie z domu, po czym zamknąwszy drzwi gabinetu, odwróciła się w stronę markiza.

- Dlaczego nie może nas pan zostawić w spokoju? - zawołała.

- Ponieważ dobro twojej rodziny leży mi na sercu.

- To nieprawda i pan doskonale o tym wie! - rzuciła Rowena. - Oni nic dla pana nie znaczą i nigdy by pan nawet o nich nie pomyślał, gdyby nie... - Umilkła, szukając właściwych słów.

- ... gdyby nie to, co się między nami wydarzyło - dokończył za nią markiz. - Kocham cię, Roweno, i nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo w ciągu tych ostatnich kilku dni za tobą tęskniłem.

- Nie życzę sobie tego słuchać, milordzie. Dyskusja o pańskich czy moich uczuciach zupełnie nie ma sensu. Mogę tylko pana błagać, aby pan wycofał się ze złożonej ojcu oferty.

- Czyżbyś była taką egoistką, aby żądać tego z osobistych powodów? - zapytał markiz.

- Usiłuje pan osiągnąć swój cel nikczemnymi metodami - rzuciła oskarżycielsko. - Ale traci pan tylko czas.

- Czyżby?

- Z pewnością!

- Wyglądasz cudownie, kiedy twoje oczy miotają błyskawice - powiedział markiz z zachwytem. - I chociaż złościsz się na mnie, Roweno, dobrze wiesz, że wszystko, czego pragnę, to trzymać cię w ramionach i całować.

Dreszcz przebiegł jej ciało i Rowena poczuła się nieswojo.

- Proszę odejść! - zawołała. - Niczego pan nie osiągnie przychodząc tu i wygadując takie rzeczy. Nawet gdyby podarował pan mojej rodzinie bank i zasypał dom brylantami, nie zrobiłabym tego, czego pan ode mnie żąda! A co więcej, nienawidzę pana, ponieważ chce mnie pan oszukać.

Markiz zrobił krok w jej stronę.

- Spójrz na mnie, Roweno! - poprosił. Chciała odmówić, ale okazało się to niemożliwe.

Jej oczy, jakby wbrew jej woli, podążyły za nim, a kiedy napotkały jego wzrok, nie były już w stanie uciec.

- Kochani cię! - miękko powtórzył markiz. - Kocham cię, najdroższa. Jesteś jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy cię ostatnio widziałem. Jak możesz walczyć z czymś, co nawzajem czujemy do siebie?

- To, co czuje pan do mnie, i co ja czuję do pana, to zupełnie różne sprawy - odparła Rowena.

- Czy rzeczywiście są tak różne? - nie ustępował markiz.

Znowu zrobił krok w jej stronę i Rowena wiedziała, że za chwilę ją obejmie. Pomyślała, że jeśli to uczyni, będzie zgubiona. Pragnęła dotyku jego warg bardziej niż czegokolwiek na świecie. Pragnęła znowu czuć upojenie, które zdawało się unosić ją do gwiazd i było czymś tak cudownym, iż z trudem tylko mogła uwierzyć, że to rzeczywistość, a nie sen,

- Pragnę cię! - Głos markiza był głęboki i pełen namiętności.

Rowena wydała cichy okrzyk jak zwierzątko, które wpadło w pułapkę. Ale kiedy markiz wyciągnął ramiona, aby ją objąć, odwróciła się gwałtownie i wybiegła z pokoju, jakby goniły ją moce piekielne. Jak burza wpadła do swojej sypialni, zamknęła drzwi na klucz, po czym rzuciła się na łóżko, czując, jak całe jej ciało drży i pulsuje, z każdą minutą pragnąc go coraz bardziej.

- O Boże, pomóż mi! - błagała, chociaż wszystko zdawało się wskazywać na to, że w tej chwili nawet Bóg ją opuścił.

Kiedy Hermiona i Mark dowiedzieli się od ojca, jakie markiz ma wobec nich plany, w pierwszej chwili zaniemówili z wrażenia.

- Do Florencji?! - wykrzyknęła Hermiona, - Czy rzeczywiście chce mnie wysłać do Florencji?

- Do elitarniej szkoły, do której uczęszczają dziewczęta z najwyższych sfer - wyjaśnił jej ojciec. - Jego lordowska mość

wybrał tę szkołę, ponieważ uczą tam najlepsi wykładowcy sztuk pięknych, a tobie chyba o to właśnie chodzi.

- Nie mogę w to uwierzyć! - ekscytowała się Hermiona. - Nigdy nie marzyłam... nigdy nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek opuszczę dom i zobaczę świat... ale Florencja... Włochy! Och, tatusiu, jak mu się za to odwdzięczę!

- Wszyscy jesteśmy mu bardzo wdzięczni - odrzekł doktor. - Z początku czułem się skrępowany jego wspaniałomyślnością, ale markiz przekonał mnie, że powinienem się zgodzić, ponieważ chodzi o waszą przyszłość. Poza tym nie mogę uwierzyć, aby jego intencje nie były szlachetne.

- Z pewnością, tatusiu - wtrąciła Hermiona. - Obiecuję, że zrobię wszystko, abyście wszyscy mogli być ze mnie dumni.

- Jestem przekonany, że ci się uda, kochanie - odparł doktor Winsford.

- Ale jest jeszcze coś - z lękiem dodała Hermiona. - Ja nie mam odpowiednich ubrań.

- Markiz pomyślał również i o tym - uspokoił ją ojciec. - Powiedział mi, że jego siostra, która ma córkę trochę od ciebie młodszą, skompletuje ci garderobę, jeśli tylko otrzyma twoje wymiary.

- Ja chyba śnię! - szepnęła Hermiona.

Mark był przez cały czas dziwnie milczący. W pewnej chwili doktor Winsford zwracając się do niego powiedział:

- Wyobrażam sobie, Marku, jaki będziesz szczęśliwy, gdy zaczniesz chodzić do szkoły z chłopcami w twoim wieku. A Eton, gdzie swego czasu uczył się markiz, jest bez wątpienia najlepszą prywatną szkołą w Anglii!

Rowena nagle poczuła, iż dłużej tego nie zniesie. Poszła do kuchni, aby pomóc przy obiedzie pani Hansen. Staruszka straszliwie narzekała, że od kiedy pomoc kuchenna wróciła do Swayneling Park, musi wszystko sama robić.

- Jestem już za stara, panienko, aby obywać się bez pomocy. Taka jest prawda.

- Już niedługo będzie pani lżej - oświadczyła Rowena. - Jego lordowska mość wysłała panienkę Hermionę i panicza Marka do internatu.

Gorycz zabrzmiała w jej głosie, ale stara Hansen, gdy tylko ochłonęła ze zdumienia, z satysfakcją powiedziała:

- To bardzo uprzejme ze strony jego lordowskiej mości, bardzo uprzejme. Panienci mama, Panie świeć nad jej duszą, byłaby szczęśliwa. Przez cały czas, panienko Roweno, podejrzewałam, że jego lordowska mość kocha się w paniencie, ale teraz jestem już tego pewna!

- Pani się myli! - gwałtownie zaprzeczyła Rowena.

- Ja? Nigdy! - oburzyła się pani Hansen. - Mogę być głucha, panienko, ale oczy mam w porządku. Więcej rozumiem, niż się czasem wydaje. I wspomni panienka moje słowa: jego lordowska mość pewnego pięknego dnia oświadczy się, a tak przystojnego mężczyzny jak on ze świecą by szukać!

Rowena z pasją wypadła z kuchni. Myślała, że chociaż tu będzie mogła o nim zapomnieć, ale ten człowiek snuł się za nią, jak cień. Nawet widok przywiezionego ze Swayneling Park ogromnego kosza, pełnego owoców, pasztetu, mięsa i drobiu, jaki często otrzymywali, kiedy markiz był chory, nie potrafił jej ułagodzić.

- Gdybym to tknęła, chybabym się udławiła! - powiedziała sobie Rowena.

Nie mniej jednak kiedy jedzenie zjawilo się na stole, musiała się przełamać. Nie mogła jednak pozbyć się myśli o tym, jak niegodziwymi metodami posługiwał się markiz. Podczas kolacji Hermiona nie była w stanie mówić o niczym innym jak tylko o swoim wyjeździe za granicę, a jej ojciec dawno już nie był tak pogodny i szczęśliwy. Tuż przed

podaniem do stołu rozległo się kołatanie do drzwi wejściowych. Po chwili do gabinetu, gdzie zebrała się reszta rodziny, wszedł Mark, niosąc wiadomość dla ojca.

- Doręczył to specjalny posłaniec - powiedział podekscytowanym głosem. - Przyjechał na wspaniałym dereszku! On czeka na odpowiedź, tatusiu.

Doktor Winsford ze zdziwieniem spojrział na kopertę, po czym otworzył ją i zaczął z uwagą czytać.

- Od kogo ten list? - zapytała Rowena, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Od generała Franklina z Overton House - rzekł doktor Winsford.

- Od generała Franklina? Nie słyszeliśmy już o nim od lat.

- Pisze, że tyle od markiza nasłuchał się pochwał pod moim adresem, że pragnąłby, abym się zajął zdrowiem jego i jego rodziny. Pyta, czy mógłbym się z nim skontaktować jutro rano.

- To fantastycznie, tatusiu! - wykrzyknęła Hermiona. - Overton House jest imponujący. Widziałam go z daleka i zawsze marzyłam, aby chociaż raz pójść tam na bal.

- Generał prosi mnie, abym został jego domowym lekarzem - rzekł doktor. - A to w żadnym wypadku nie jest równoznaczne z nawiązaniem jakichkolwiek towarzyskich kontaktów.

- Nigdy nic nie wiadomo - z uśmiechem powiedziała Hermiona. - Może tak jak markiz poczuje do ciebie sympatię, a wtedy wszyscy na tym dobrze wyjdziemy. Odpisz mu szybko, że czujesz się zaszczycony i że zjawisz się u niego jutro.

- Właśnie chciałem to zrobić - odrzekł doktor Winsford i usiadł przy biurku. - Czy mamy jakiś przyzwoity papier listowy, Roweno? - zapytał.

Rowena podała mu elegancką papeterię, ale zupełnie nie miała ochoty uczestniczyć w rozmowach na temat nowego i bogatego pacjenta, ani zwłaszcza tym się ekscytować.

Nienawidzę markiza! - powiedziała sobie, a jednak znowu poczuła ten sam dreszcz, który przebiegł jej ciało, kiedy mówił jej o swojej miłości.

Po bezsennie spędzonej nocy, Rowena zeszła na dół i ze zdziwieniem stwierdziła, że jej brat zjadł już śniadanie i wyszedł z domu.

- To panicz Mark wstał dzisiaj tak wcześnie? - zagadnęła panią Hansen.

- Zdaje się, że wybierał się na piknik, panienko. - Na piknik? - zaniepokoiła się Rowena. - To niemożliwe! O jedenastej powinien mieć lekcje u pastora.

- Poprosił, żebym mu zapakowała do torby parę kanapek - odrzekła staruszka. - Dałam mu więc kilka plasterków tej szynki, którą przywieźli wczoraj ze Swayneling Park. To wspaniała, soczysta szynka, jakiej nie widziałam od lat.

- Czy jest pani pewna, że mówił o pikniku? - dopytywała się Rowena.

- Nie pamiętam dokładnie, co powiedział, panienko. Po prostu prosił mnie o kanapki, wrzucił je do tornistra i wyszedł.

Rowena spojrzała na kucharkę z niedowierzaniem, po czym pobiegła na górę do sypialni ojca. Zapukała i weszła do środka, ojciec właśnie kończył się golić. W nocy był wzywany do pacjenta i tego ranka wstał później niż zwykle.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, tatusiu - powiedziała.
- Ale czy Mark wspominał ci wieczorem, że wybiera się na piknik?

Doktor zastanawiał się chwilę.

- Nie przypominam sobie, Roweno. Kiedy wróciłem do domu, rozmawiałem z nim chwilę o szkole w Eton. Ale

Hermiona była tak podekscytowana Florencją, że nie dała Markowi dojść do słowa.

- Wydaje mi się, że podczas obiadu był dziwnie milczący - zauważyła Rowena. - Miejmy nadzieję, że chce iść do Eton.

- Oczywiście, że chce! - powiedział doktor. - Każdy chłopiec chciałby się uczyć w najlepszej szkole w Anglii. - Skończył wiązać krawat i kiedy Rowena pomagała mu włożyć płaszcz, powiedział w zadumie: - Chciałbym, aby wasza matka mogła również cieszyć się z perspektyw, jakie rysują się przed Hermiona i Markiem. Tak bardzo tego pragnęła, szczególnie dla Hermiony. Już wkrótce, kochanie, twoja siostra będzie tak samo piękna jak ty. - Rowena milczała i po chwili doktor Winsford nieśmiało dodał: - Dziwi mnie tylko, moja droga, że markiz pominął cię w swoich planach. Nie pamiętał nawet o prezencie dla ciebie, chociaż z takim oddaniem go pielęgnowałaś.

- Nie mam ochoty znaleźć się pod jego patronatem.

- Byłoby mi przykro, gdybyś się czuła tym dotknięta - rzekł ojciec.

W jego głosie czuło się tyle niepokoju i troski, że Rowena pochyliła się ku niemu i serdecznie go ucałowała.

- Nic takiego nie czuję, tatusiu. A jeśli ty cieszysz się, że markiz tyle chce zrobić dla dzieciaków, to ja również cieszę się z tobą.

- Moja kochana dziewczynka - rzekł doktor, głaszcząc ją po plecach.

Rowena wiedziała, że ojciec ogromnie był zakłopotany tym, iż markiz ją tak potraktował. Nie mogła mu jednak wyjawiać prawdziwych motywów jego postępowania, a szczególnie jego nadzwyczajnej wspaniałomyślności. „Odgroził mnie murem od mojej własnej rodziny, doprowadził do tego, że nie możemy być już ze sobą szczerzy” - pomyślała z żalem.

- Muszę zjeść szybko śniadanie - rzekł doktor Winsford. - Czeka mnie przed południem wiele pracy, a o wpół do trzeciej mam być w Overton House.

- Bardzo się cieszę, że włożyłeś swój najlepszy garnitur, tatusiu.

Doktor uśmiechnął się.

- Twoja matka zawsze powtarzała, że pierwsze wrażenie jest najważniejsze.

- Jesteś dziś nadzwyczaj elegancki! - z podziwem zauważyła Rowena.

Doktor pospiesznie zszedł na dół, a Rowena wzięła się do sprzątnięcia pokoju i siania łóżka. Po chwili usłyszała, jak ojciec wychodzi z domu, a z nim Hermiona, którą miał podrzucić do pani Graham na drugi koniec wioski. Spojrzała na zegar. Było dopiero wpół do dziesiątej. Myśl, że Mark tak wcześnie dziś wyszedł, wciąż nie dawała jej spokoju. Zazwyczaj trudno go było wyciągnąć z łóżka. Uwielbiał przesiadywać wieczorami, natomiast rano, kiedy nadchodziła pora wstawania, spał jak suseł.

- Mam nadzieję, że nie ma zamiaru opuścić lekcji - mruknęła pod nosem. - Pastor bardzo tego nie lubi.

Weszła do gabinetu ojca, przypominając sobie, jak wytwornie wyglądał markiz, kiedy stał tu wczoraj na tle kominka, i jak wspaniale odbijały się jego ciemne włosy w wiszącym z tyłu lustrze. Zbliżyła się do biurka, aby uporządkować rozrzucone na nim papiery, i nagle zobaczyła opartą o kałamarz kopertę, na której widniało jedno słowo: „Tata”. Nie miała wątpliwości, od kogo był ten list. Bez chwili wahania otworzyła go i przeczytała:

Kochany Tatusiu!

Nie chcę iść do szkoły. Chcę zajmować się końmi i dlatego odchodzę, aby zarobić na życie. Nie martw się o mnie.

Zabrałem pół suwerena z odłożonych przez Rowenę pieniędzy na dom i zwrócę je najszybciej, jak tylko będę mógł.

Pozdrawiam wszystkich

Twój kochający syn Mark

Najpierw szybko przebiegła wzrokiem kilka zapisanych linijek, po czym jeszcze raz, tylko znacznie wolniej. Po chwili jej usta zacisnęły się mocno i wyszeptała:

- To robota markiza... to jego wina!

Rozdział 5

Pozwoliłem sobie pod pańską nieobecność, milordzie, zamówić dla pana Gaynora potrzebne mu do pracy farby oraz pewną ilość złota i srebra w płatkach.

- Bardzo dobrze, Ashburn - odrzekł markiz. - Mam nadzieję, że zamówiłeś to wszystko w dużych ilościach, ponieważ mam dla pana Gaynora następne zadanie i chcę, aby do niego niezwłocznie przystąpił.

Markiz podpisał leżące na biurku papiery i wręczył je sekretarzowi.

- Ten list - powiedział - może poczekać... - Urwał w pół słowa, ponieważ drzwi gabinetu nagle się otworzyły.

- Przepraszam, milordzie - odezwał się lokaj. - Ale przyjechała panna Winsford i chce się z panem widzieć. Mówi, że to pilne.

Markiz przez chwilę milczał, po czym polecił:

- Wprowadź ją, Newman.

Lokaj wycofał się i Ashburn ruszył w kierunku drzwi. Ale zanim zdążył do nich dojść, drzwi ponownie się otworzyły.

- Panna Rowena Winsford, milordzie! - zaanonsował lokaj i Rowena weszła do gabinetu.

Była bardzo biada, ale jej beret, chociaż zwyczajny i niedrogi, nie potrafił stłumić złocistego blasku jej włosów i niezwykłego błękitu oczu. Na widok dziewczyny markiz podniósł się z za biurka, podczas gdy Ashburn, skłoniwszy się głęboko, opuścił pokój. Kiedy drzwi za sekretarzem zamknęły się, markiz cicho zapytał:

- Co się stało?

- I pan się o to pyta - przytłumionym głosem odezwała się Rowena. - To pańska sprawka! - powiedziała podając mu list Marka.

Przeczuwał, że stało się coś ważnego, gdyż w przeciwnym razie nie zjawiałaby się w Swayneling Park. Szybko przebiegł wzrokiem po zapisanej kartce papieru:

- Bardzo mi przykro, Roweno. Powinienem był przewidzieć, że myśl o rozstaniu ze środowiskiem, z którym jest tak bardzo zżyty i wyjazd w nieznane, może go napęlić lękiem.

- Myślę, że to by się nie wydarzyło, gdyby nie obsesja na punkcie pańskich koni - z goryczą zauważyła Rowena. - Mówiłam panu, że ma pan zły wpływ na wszystkich domowników, i to jest właśnie pierwszy skutek pana ingerencji w nasze życie.

- Usiądźmy i zastanówmy się, co w tej sytuacji należy zrobić - zaproponował markiz.

- Nie mamy się nad czym zastanawiać - odrzekła Rowena, - Zdecydowałam się tu przyjechać, aby porozmawiać z pańskimi stajennymi i dowiedzieć się, o czym z Markiem rozmawiali i jakich bajek mu naopowiadali. Musieli mu coś mówić na temat pracy w stajni. - Milczała przez chwilę, po czym nieco już spokojniej dodała: - Nie przypuszczam, oczywiście, aby mógł tu się pojawić.

- Zgadzam się, że to raczej mało prawdopodobne - przyznał markiz. - Ale zaraz to sprawdzimy.

Przeszedł przez pokój, kierując się do miejsca, gdzie tuż obok imponującego gzymsu nad kominkiem przytwierdzona była taśma dzwonka. Kiedy markiz pociągnął za nią, prawie natychmiast drzwi otworzyły się i zjawił się w nich ubrany w liberię lokaj w oczekiwaniu na rozkazy.

- Powiedz Samowi, aby natychmiast się tu zjawił! - polecił markiz.

- Tak jest, milordzie.

Drzwi ponownie się zamknęły i markiz z uśmiechem, który zniewalał większość kobiet, powiedział:

- Czy nie zechcesz usiąść, Roweno, i wypić ze mną kieliszek wina? A może wolisz gorącą czekoladę?

- Dziękuję, ale nie mam na nic ochoty. Pragnę jedynie dowiedzieć się czegoś o Marku.

Nie patrzyła na markiza, natomiast on nie spuszczał z niej wzroku.

- Mogę tylko powtórzyć, Roweno, że bardzo mi przykro, iż tak się stało - rzekł. - Chciałem dla was jak najlepiej. Wiesz dobrze, że Mark powinien chodzić do szkoły.

- Nie musi się pan troszczyć o moje rodzeństwo.

- Dlaczego? - zapytał markiz. - Przecież będziesz należała do mnie.

- Nigdy! - Oczy Roweny pociemniały z gniewu. - Wiem, że uważa się pan za bardzo sprytnego, milordzie, ponieważ zdobył pan wdzięczność mojego ojca, a Hermionę pomysłem wyjazdu do Florencji doprowadził prawie do hysterii. Ale jeśli o mnie chodzi, coraz bardziej pana nienawidzę.

- Naprawdę w to wierzysz? - zapytał markiz.

Ton jego głosu sprawił, że jej serce mocniej zabiło.

Gdy jechała bryczką z młodym Lawsonem do rezydencji Swayne'ów, widok domu markiza wywarł na niej ogromne wrażenie. Spodziewała się, że będzie wspaniała, ale rzeczywistość przeszła jej najśmielsze oczekiwania.

Pałac bez wątplenia należał do najpiękniejszych nie tylko w hrabstwie, ale i w całej Anglii. Zbudowany został za panowania królowej Elżbiety I na polecenie jednego z jej najbardziej zaufanych doradców, a Swayne'om udało się przez setki lat utrzymać wysoką pozycję w państwie, zachowując przy tym w całości i majątek, i głowy pod rządami kolejnych, wyznających różne religie monarchów. Od protestanckiej Elżbiety, przez burzliwy okres panowania Stuartów i czasów Commonwealth, ród Swayne'ów nie tylko przetrwał, ale w miarę upływu lat jego potęga i znaczenie coraz bardziej rosło.

Swayneling Park to monumentalne dzieło wielu pokoleń Swayne'ów, powstałe dzięki genialnym umysłom ich przedstawicieli oraz umiejętnie zawieranym mariażom, które pomnażały fortunę i znaczenie rodu.

- Ładna budowla, nie sądzi pani? - zapytał Edward Lawson, patrząc z ukosa na Rowenę.

Rowena spodziewała się, iż chłopak nie przepuści takiej okazji i będzie usiłował ją zagadywać, ale ostatnie przeżycia zbyt mocno nią wstrząsnęły, aby zwracała na to uwagę. Toteż uwagę Lawsons pominęła milczeniem.

Patrząc na Swayneling Park nie mogła się oprzeć wrażeniu, iż rezydencja była jakby stworzona dla markiza, stanowiąc wspaniałe tło i wręcz doskonałą oprawę dla jego niezwyklej osobowości.

Gdy weszła do hallu, w którym stały pod ścianami znakomite greckie rzeźby, i gdy poprowadzono ją długimi korytarzami udekorowanymi bezcennej wartości obrazami i oryginalnymi francuskimi meblami, poczuła się tym przepychem bardzo onieśmielona, ale kiedy ujrzała imponującą postać markiza, wrażenie było tak silne, że wszystko nagle przy nim zbladło. Szedł w jej kierunku i czuła, jak płynący od niego dziwny prąd przenika jej ciało i wprawia ją w drżenie. Za wszelką cenę starała się przed nim obronić. Powiedziała sobie, że zachowuje się, jakby ją zahipnotyzował i że musi się opanować. Cokolwiek by powiedział czy zrobił, zawsze go będzie nienawidzić i nim gardzić za to, że ją tak potraktował.

- Czy myślałaś o mnie ostatniej nocy? - zapytał cicho markiz.

- Ani przez chwilę! - gwałtownie zaprzeczyła Rowena.

Jednak nie przyzwyczajona do kłamstwa, zarumieniła się i markiz roześmiał się cicho.

- Czy to możliwe, abyśmy mogli nie myśleć o sobie? - zapytał. - Bronisz się przede mną, Roweno, ale wiesz równie dobrze jak ja, że to nie ma sensu. Jesteśmy sobie przeznaczeni.

- To nieprawda - zaprzeczyła, wierząc, że jej głos zabrzmiał dostatecznie stanowczo. Mimo to zdawała sobie sprawę, co się z nią dzieje i że pragnie znowu znaleźć się w jego ramionach.

- To przeznaczenie pchnęło nas ku sobie - ciągnął markiz. - I chociaż sądziłem, że spotkam się z tobą po południu, los chciał, że to ty przyszłaś do mnie, prosząc o pomoc.

- Nic podobnego! - gwałtownie zaprotestowała Rowena. - To, co się stało, milordzie, to wyłączny rezultat pańskich nieszczerých intencji w stosunku do mnie oraz wtrącania się w sprawy, które nie powinny pana obchodzić.

- Czy chcesz powiedzieć, że nie życzysz sobie, aby Mark uczył się w Eton? - zdumiał się markiz.

- Wolę, żeby pozostał bez wykształcenia, niż miałby w czymkolwiek być uzależniony od pana!

- Jeśli tak uważasz, to chyba nie kochasz swojego brata. - Zatrzymał się tuż przy niej i miękko powiedział: - W końcu i tak zwyciężę, Roweno. Czy widzisz sens w kontynuowaniu tej walki, skoro twoje serce i tak należy do mnie?

Z przerażeniem pomyślała, że to prawda, lecz kiedy chciała już markizowi zaprzeczyć, drzwi nagle otworzyły się.

- Sam, milordzie! - zaanonsował lokaj i stajenny zjawił się w pokoju.

- Dzień dobry, milordzie!

- Dzień dobry, Sam - odpowiedział markiz. - Panna Winsford chce ciebie prosić o pomoc. - Sam był wyraźnie zaskoczony. - Chce się dowiedzieć, co opowiadałeś paniczowi Markowi o pracy przy koniach i czy mogło to zrodzić w jego głowie pomysł zarabiania w ten sposób na życie.

Zazwyczaj uśmiechnięta twarz Sama spoważniała.

- Wasza lordowska mość chce powiedzieć, że ten młody dżentelmen uciekł z domu?

- Tak, zostawił kartkę, że ma zamiar pracować przy koniach. Jak sądzisz, gdzie teraz może być?

- Może poszedł do Newmarket, milordzie.

- Rozmawiałeś z nim o wyścigach?

- Tak, milordzie. Był nimi bardzo zainteresowany. Teraz pamiętam. Mówiłem, że potrzebują dużo stajennych do ujeżdżania koni.

Markiz spojrział na Rowenę.

- A więc to tam uciekł Mark.

- Nie mógł odejść zbyt daleko! - wykrzyknęła. - Powinnam go jeszcze dogonić.

- Pojadę z tobą - zaproponował markiz. Po chwili wahania odpowiedziała:

- Mam bryczkę.

- Mój zaprzęg z czwórką koni będzie szybszy. Złapiemy Marka w drodze do Newmarket. - Markiz zwrócił się do stajennego: - Mój faeton, Sam, i nowe kasztany!

- Tak, milordzie. - Sam wahał się chwilę, po czym dodał:

- Jest mi bardzo przykro, milordzie, jeśli to przeze mnie te kłopoty.

- To nie twoja wina - krótko rzekł markiz.

- Dziękuję, milordzie.

Kiedy służący wyszedł z pokoju, markiz zapytał:

- Jak się tu dostałaś, Roweno?

- Skorzystałam z uprzejmości pana Lawsona.

- Oczywiście! Swego wiernego adoratora! - z sarkazmem zauważył markiz.

- Tatuś wyjechał już do pacjentów, a pewnie uszło to pańskiej uwagi, że nie mamy innego środka transportu.

- Podziękuję temu dżentelmenowi w twoim imieniu i poślę go do diabła! - Mówiąc to markiz ruszył w stronę drzwi.

Rowena gwałtownie zerwała się.

- Nie... proszę! - zawołała. - Był bardzo uprzejmy i...

Ale drzwi za markizem już się zamknęły i Rowenie nie pozostawało nic innego jak tylko pogodzić się z jego decyzją. Miała jedynie nadzieję, że nie zachowa się w stosunku do Lawsona zbyt obcesowo. Ten młody człowiek był bardzo natarczywy i żadne, najostrejsze nawet reprimendy nie robiły na nim wrażenia. Pomyślała, że markiz nie zachował się teraz zbyt elegancko, w sposób arbitralny podjął za nią decyzję, nie słuchając, co ona ma do powiedzenia.

- W tej chwili najważniejsze jest jednak, aby udało się odnaleźć Marka - powiedziała sobie Rowena.

Kiedy po paru minutach markiz zjawiał się ponownie i poinformował ją, że odprawił Lawsona i że powóz jest już gotowy do drogi, Rowena poczuła dreszcz emocji na myśl, iż będzie z nim podróżowała sama.

Kiedy powóz ruszył, markiz z wielką, wprawą ujął wodze, a wyglądał przy tym tak imponująco, że Rowena nie miała wątpliwości, iż wiele kobiet by jej w tej chwili zazdrościło. Ale czy był powód do zazdrości? Kobiety, które markiz zwykle woził, z pewnością należały do najwyższych sfer i były przez niego zupełnie inaczej traktowane, myślała z goryczą. Jakiś czas jechali w milczeniu, ale po chwili, patrząc na nią wymownie, markiz odezwał się:

- Wyglądasz dziś bardzo pięknie, Roweno. Za każdym razem, kiedy cię widzę, jestem pod wrażeniem twojej urody. - Rowena nic nie odpowiedziała. Zacisnęła tylko palce ułożonych na kolanach ręk, jakby chciała w ten sposób zapanować nad emocjami, które ożyły pod wpływem słów markiza. - Zastanawiałem się, jak cię namówić na przejażdżkę - ciągnął markiz. - Tyle jest miejsc, które chciałbym ci pokazać, tyle moglibyśmy razem zwiedzić. Na szczęście przeznaczenie znowu przyszło mi z pomocą.

- To nie przeznaczenie mnie tu przywiodło, tylko Mark! Mój brat uciekł z domu, milordzie, ponieważ przez pańskiego służącego stracił głowę dla koni, na których nigdy nie będzie miał okazji jeździć, nie mówiąc o tym, że nigdy ich nie będzie posiadał.

- Czy jesteś tego pewna? - zapytał markiz.

- Najzupełniej! - odrzekła Rowena. - Nawet mój ojciec musiałby przyznać, iż jeśli się zgadza na edukację swych dzieci, byłoby wysoce niewłaściwe, aby jednocześnie otaczał je zbytkiem.

- Nie widzę w tym nic niewłaściwego - zauważył markiz.

- Doskonale wiesz, iż jestem gotów dać ci słońce, księżyc, gwiazdy oraz wszystko, czego tylko zapragniesz.

Słowa „poza ślubną obrączką” cisnęły się na usta Roweny. Pomyślała jednak, że taka uwaga nie byłaby zbyt taktowna, i umilkła.

- Kocham cię! - rzekł markiz. - Nawet nie wiesz, jak bardzo. Nie mogłem w nocy spać, ponieważ wciąż myślałem o tobie.

Rowena, nie chcąc sprawić mu satysfakcji, nie przyznała się, że również spędziła bezsenność.

- Nasze wyobrażenia o miłości, milordzie, są tak odmienne, że lepiej będzie, jeśli zmienimy temat - chłodno oświadczyła.

- O czym więc będziemy rozmawiać? - zapytał markiz. - Czy chcesz, abym ci powiedział, że dołeczki w twoich policzkach są rozkoszne i że marzyłem o nich tego ranka? A może, iż oddałbym z radością połowę mojego majątku za przywilej ucałowania twoich ust?

- Dosyć! - zawołała Rowena. - Nie wolno panu tak do mnie mówić! Jeśli pan nie przestanie, będę zmuszona dalszą drogę odbyć pieszo.

- W takim razie nie zdołasz złapać brata, który z pewnością maszeruje znacznie szybciej niż ty - z satysfakcją zauważył markiz.

Argument był nie do odparcia i Rowena znowu umilkła.

Minęli skrzyżowanie, skąd skręcało się do Little Powick, i po chwili jechali już drogą, która wiodła przez Royston do Newmarket

Rowena przypomniała sobie, że Mark miał w kieszeni pół suwerena. Nie sądziła jednak, aby wydał go na jazdę dyliżansem. Gdy chodziło o pieniądze, nie brak mu było rozsądku. Z pewnością zdawał sobie sprawę, iż szczęście może mu nie dopisać i nie dostanie pracy tak od razu.

Po chwili przyszło jej do głowy, że Mark mógł kogoś poprosić o podwiezienie. I kiedy przejechali kilka mil, a chłopca wciąż nie było widać, zaczęła podejrzewać, iż tak właśnie się stało. Markiz najwidoczniej zaczął mieć również wątpliwości.

- Zastanawiam się, co bym zrobił na Marka miejscu. Chyba bym skorzystał z jakiejś jadącej na targ furmanki albo wozu z sianem - powiedział.

- Na wszelki wypadek - dodała Rowena - jeśli spotkamy po drodze dyliżans, musimy sprawdzić, czy mojego brata nie ma w środku.

- W środku z pewnością go nie będzie - odparł markiz. - Przede wszystkim dlatego, że to znacznie drożej kosztuje, poza tym chłopcy, tak zresztą jak większość mężczyzn, wolą jazdę na górze.

To prawda, pomyślała Rowena, i kiedy po chwili mijali dyliżans pełen ludzi, bagaży i klatek z ptactwem stwierdzili, że na zewnątrz siedzą trzy osoby. Jednak Marka nigdzie nie było widać. Rowena zaczęła się obawiać, iż Mark wcale nie wybrał się do Newmarket. Jej głos wyraźnie drżał, kiedy zwróciła się do markiza:

- Myślę, że powinniśmy... zawrócić... Może trzeba pojechać... inną drogą.

Markiz spojrział na nią. Jej twarz była blada, a oczy wystraszone i smutne.

- Znajdziemy go, skarbie. Obiecuję ci to - powiedział.

- Ale może on ma kłopoty... Może ktoś go okradł albo skrzywdził...

Markiz w milczeniu zaciął konie. I kiedy z szaloną szybkością pędzili w dół, mając przed sobą prosty odcinek drogi, Rowena nagle zauważyła maleńką postać z mozołem pokonującą kolejne wzniesienie. Bezwiednie wyciągnęła rękę i dotknęła ramienia markiza.

- Czy to Mark? - zapytał.

- To... on! - z trudem wykrztusiła i poczuła tak ogromną ulgę, że przez chwilę zapomniała o swoich urazach. - Znaleźliśmy go! - krzyczała. - Och, dziękuję... dziękuję, że pojechał pan ze mną!

Markiz trzymał wodze jedną ręką, drugą położył na jej dłoni.

Rowena poczuła jego dotyk i dreszcz przebiegł jej ciało. Nagle łzy napłynęły jej do oczu. Tak bardzo chciała położyć mu głowę na ramieniu i powiedzieć, jak bardzo się bała, że nie odnajdą Marka i że stracą go na zawsze. Opanowała się jednak i cofnąwszy dłoń wpatrywała się w widniejącą w oddali maleńką figurkę.

Kiedy markiz zatrzymał korne, chłopiec odwrócił się. „Jest chyba bardzo zmęczony - pomyślała Rowena - a jego buty są zupełnie pokryte kurzem”.

- Czy możemy cię podwieźć? - zapytał markiz. - Masz jeszcze długą drogę przed sobą.

Mark stanął jak wryty, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Ale Rowena już wychylała się z faetonu i wyciągała do niego ramiona.

- Wracaj do domu, Mark - błagała. - Tak bardzo się niepokoiłam.

Przez chwilę chłopiec zdawał się wahać, po czym spojrzawszy na konie, zapomniał o wszystkim.

- Czy naprawdę mogę z wami jechać? - zapytał. - Czy jest wolne miejsce?

- Jest dużo miejsca - odrzekła Rowena. Odsunęła się nieco, aby brat mógł usiąść pomiędzy nią i markizem, i kiedy konie ruszyły, chłopiec odezwał się nieśmiało:

- Tak mi przykro, iż sprawiłem ci tyle kłopotu.

- Czy rzeczywiście sądziłeś, że twoja siostra pogodzi się z tym, że opuściłeś dom? - zapytał markiz. - Uważałem cię za dużo mądrzejszego.

Jego głos był surowy i Rowenie zrobiło się przykro. Objęła Marka, jakby go chciała przed nim obronić, ale on zdawał się tego nie dostrzegać.

- Przepraszam, milordzie. Nie pomyślałem - wykrztusił.

- Ale powinieneś - zauważył markiz. - Tego popołudnia, kiedy byłem u was, chciałem porozmawiać z tobą o twojej jeździe konnej.

- Mojej... jeździe konnej?

- Miałem zamiar wypożyczyć ci do końca wakacji konia i stajennego, a gdyby twoje wyniki w nauce okazały się dobre, w co nie wątpię, mógłbyś wziąć udział w polowaniu, kiedy przyjedziesz do domu na Boże Narodzenie.

Mark zdawał się nie wierzyć własnym uszom. Po chwili uszczęśliwiony zawołał:

- Polowanie! Czy pan powiedział... polowanie, milordzie?

- Tak właśnie powiedziałem - rzekł markiz. - Ale ty oczywiście możesz zdecydować, że chcesz być chłopcem stajennym i co najmniej przez rok sprzątać boksy lub, jeśli ci się poszczęści, oporządzać konie.

Zapadło milczenie, po czym Mark ze skrucą powiedział:

- Byłem głupi, milordzie.

- Następnym razem, kiedy przyjdzie ci ochota do buntu albo nie będziesz wiedział, jak postąpić, zwróć się do mnie - zasugerował markiz. - Mam doświadczenie w takich sprawach, sam też byłem kiedyś chłopcem.

- Tak zrobię, milordzie, i bardzo panu dziękuję! - powiedział Mark. - Ale czy to prawda, że będę mógł jeździć konno aż do wyjazdu do szkoły?

- Tak, to prawda - potwierdził markiz. - Ale mam dla ciebie jeszcze jedną propozycję.

Mark patrzył na niego z zachwytem, ale Rowena oczy miała utkwione gdzieś w przestrzeni, a usta zacięte. Zdała sobie sprawę, że po tym wszystkim markiz całkiem podbije serce brata i ona nic już na to nie poradzi. Koń na wakacje! Polowanie na Boże Narodzenie! Jakie miała szanse w tej rywalizacji?

Nienawidzę go! Nienawidzę! - powtarzała w myślach, nie mogła jednak nie przyznać, że jego propozycje otwierały przed jej bratem nowe horyzonty.

W drodze do Little Powick Rowena przez cały czas milczała, podczas gdy Markowi dosłownie usta się nie zamykały. Z błyszczącymi oczami rozprawiał o koniach, dziękując co chwila za wszystko, co markiz mu obiecał. Tymczasem faeton podjechał do domu Winsfordów i Mark z nadzieją w głosie zapytał:

- Czy mogę iść do koni, milordzie?

- Jeśli masz ochotę - odpowiedział markiz i zanim powóz się zatrzymał, Mark już z niego zeskoczył i biegł do Sama, aby go zaciągnąć do stajni.

Kiedy Rowena zdejmowała narzucone na suknię okrycie, markiz półgłosem zapytał:

- Czy otrzymałem rozgrzeszenie?

- Nie!

- Nie można powiedzieć, abyś była wielkoduszna.
- Pan zwyczajnie przekupił mojego brata, tak jak wcześniej Hermionę, no i oczywiście mojego ojca.
- Nie uważam, aby słowo „przekupił” było na miejscu.
- To, co pan robi, też nie jest na miejscu! Oszukuje pan, aby tylko osiągnąć cel.
- Zawsze mi mówiono, że w miłości i na wojnie wszystkie środki są dozwolone. A w tym wypadku mamy i jedno, i drugie, Roweno.

- To rzeczywiście wojna - zawołała. - A skoro pan gotów jest użyć w niej każdej broni, ja zrobię to również.

Markiz nie odpowiedział. Ze zręcznością która zdumiewała u tak niedawno ciężko rannego człowieka, wyskoczył z faetonu i zanim Rowena zdążyła wysiąść, podbiegł do niej, aby jej pomóc.

Nie wzbraniała się. Pomimo ciągłego powtarzania sobie, że jest na niego wściekła, kiedy zsiadając ją ze stopni powozu przytulił ją poczuła, że jej serce zaczyna mocniej bić, a ciałem wstrząsa dreszcz. Chyba zorientował się, co się z nią dzieje, ponieważ patrząc w oczy dziewczyny, dziwnie się uśmiechnął i uchylwszy kapelusza powiedział:

- Widzę, iż nie jesteś w nastroju, nie będę się więc narzucał. - Po czym zwrócił się do zbliżającego się do nich Marka: - Chcę ci powiedzieć, mój drogi, że jutro wyjeżdżam do Londynu.

- Wyjeżdża pan? - Chłopiec był wyraźnie rozczarowany.

- Tylko na trzy, może cztery dni - uspokoił go markiz, - Cały Londyn świętuje 1 sierpnia i regent chcąc wyrazić księciu Wellingtonowi swoje najwyższe uznanie, wydaje w Carlton House ogromne przyjęcie, na którym muszę być obecny. Obiecuję, że wrócę tak szybko, jak tylko okaże się to możliwe. Drugiego, a najdalej trzeciego będę już z powrotem. Przyjedziesz wtedy do Swayneling Park i razem wybierzemy

dla ciebie konia, na którym będziesz mógł jeździć aż do września.

- To znaczy do czasu, aż wyjadę do Eton? - zapytał Mark.

- Tak - potwierdził markiz. - Mam zamiar wiele opowiedzieć ci o tej szkole, abyś nie czuł się obco, gdy zaczniesz się w niej uczyć.

- Dziękuję, milordzie, bardzo dziękuję! - zawołał Mark i z niepokojem dodał: - Nie zapomni pan o moim koniu?

- Przyrzekam, że natychmiast po powrocie z Londynu wyślę po ciebie albo przyjadę sam i zabiorę cię do Swayneling Park - rzekł markiz i z uśmiechem dodał; - Będziesz musiał podzielić swój czas pomiędzy nadrabianie zaległości w szkole i jazdę konną. Szkoda by było, gdybyś sobie z tym nie poradził.

Powiedział to dosyć lekko, ale Rowena nie miała wątpliwości, że Mark właściwie odczytał jego intencje.

- Przyrzekam, że ze wszystkim dam sobie radę - zapewnił Mark.

Podczas gdy markiz rozmawiał z jej bratem, Rowena czekała w drzwiach, uważając, iż nie wypada jej odejść, choć czuła, że powinna to zrobić.

- A więc wszystko się dobrze skończyło - rzekł markiz. - Mam nadzieję, Roweno, że ty również będziesz na mnie czekała.

W obecności Marka Rowenie nie pozostawało nic innego, jak tylko złożyć przed markizem głęboki ukłon. Nie miała nawet zamiaru podać mu na pożegnanie ręki, ale markiz sam ujął jej dłoń i zanim zdążyła mu się sprzeciwić, podniósł ją do ust Zdjęła rękawiczkę, kiedy markiz rozmawiał z jej bratem, i teraz czuła palący dotyk jego warg. Bezwiednie zacisnęła palce na jego dłoni. Markiz podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Ich twarze były tak blisko siebie. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

Po chwili markiz włożył kapelusz na głowę.

- Do widzenia, Mark - rzekł. - Dbaj o swoją siostrę. To prawdziwy skarb.

Wskoczył do faetonu. Sam puścił wodze i powóz ruszył, zanim pacholek wdrapał się na miejsce tuż obok swojego pana. Rowena nie chciała patrzeć, jak odjeżdża. Weszła więc do domu, pozostawiając na schodkach Marka, który machał ręką tak długo, aż konie zniknęły mu z oczu. Była już prawie na górze, kiedy z hallu dobiegły ją słowa Marka:

- Roweno, czy może być coś wspanialszego? Jak myślisz, chyba on nie zapomni?

- Nie. Jestem pewna, że nie zapomni - oschle zauważyła Rowena i ruszyła w stronę swojego pokoju, ale głos Marka znowu ją zatrzymał.

- Czy tatuś się na mnie gniewa? Odwróciła się i pochyliła nad poręczą.

- Tatuś o niczym nie wie, Mark. Nie powiedziałam mu. Ty też mi obiecaj, że nic nie wspomnisz o swojej ucieczce. Bardzo by go to zmartwiło.

- Dobrze, nic nie powiem - przyrzekł Mark. - To bardzo ładnie z twojej strony, że mnie nie wydałaś.

- Wyszedł z domu i nie widział twojego listu. Podrę go i zapomnimy o wszystkim. Zrozumiałaś?

Mark skinął głową. Nagle z jego ust wyrwał się radosny okrzyk;

- Polowanie, Roweno! Pojadę na polowanie! Pomyśl tylko!

Markiz całkowicie go zawojował, pomyślała Rowena. Tak jak Hermionę, a nawet ojca. Pozostawała tylko Lotty, która była za mała, aby się w tej grze liczyła, oraz ona sama.

- Nie pozwolę mu wygrać! - powiedziała na głos, kiedy dotarła do swego pokoju. - Jeśli on gotów jest użyć każdej

broni, aby tylko osiągnąć swój cel, ja muszę użyć jedynej, jaka mi jeszcze pozostała.

Siedząc w podążającym do Londynu dyliżansie Rowena zastanawiała się, czy wspaniały zaprzęg markiza zdoła ich minąć, zanim dojadą na miejsce. Pora była wczesna, więc nie przypuszczała, by markiz mógł już wyruszyć w drogę.

Ściśnięta między obfitej tuszy wieśniaczkę, a jeszcze grubszego od niej dżentelmena reprezentującego jakąś firmę winiarską, pocieszała się, że jej ojciec nie będzie się martwił, kiedy przeczyta pozostawiony przez nią list. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów skłamała. Napisała, że pod wpływem sugestii markiza jedzie do Londynu, aby zająć się strojami Hermiony, które potrzebne jej są na wyjazd do Florencji. Przypuszcza, że zatrzyma się w mieście na dzień lub dwa, i ma nadzieję, iż w tym czasie poradzą sobie bez niej. Jako człowiek z natury bardzo ufny, ojciec nigdy by nie podejrzewał, iż jego córka nie napisała prawdy. „Jeśli mi się nie uda - pomyślała - wrócę do domu jeszcze tego samego dnia”. Była pewna, że Hermiona zacznie jej zadawać mnóstwo dociekliwych pytań, ale że ojciec zostawi ją w spokoju.

Dyliżans z turkotem pokonywał wiejskie drogi, wzniesając tumany kurzu. Z czasem stawały się one coraz lepsze, przybywało coraz więcej domów, aż wreszcie dotarli na przedmieścia Londynu. I wtedy Rowena zaczęła żałować, że nie zdecydowała się na górne miejsce w dyliżansie. Z pewnością nie byłoby jej tak gorąco i niewygodnie, a i widoki byłyby znacznie ciekawsze. Ale wtedy markiz mijając dyliżans mógłby ją zauważyć, a to mogło pokrzyżować jej plany.

Przypadek sprawił, że wczoraj wieczorem rzuciła okiem na kronikę towarzyską w „The Morning Post”, aby sprawdzić, czy napisali coś o uroczystościach ku czci księcia Wellingtona, o których wspominał markiz. Wiedziała, że

wydane przez księcia regenta przyjęcie będzie opisane po uroczystościach, ale jej nie interesowały plotki z życia towarzyskich sfer. Jednak ta uroczystość miała być hołdem złożonym przez zwykłych ludzi bohaterowi spod Waterloo.

Ku swemu zaskoczeniu przeczytała, że główne uroczystości odbędą się w londyńskich parkach dla uczczenia pierwszej rocznicy bitwy nad Nilem oraz stulecia wstąpienia na tron angielski elektora Hanoweru.

W St. James Park zbudowano chińską pagodę i bardzo malowniczy żółty mostek z jasnoniebieskim daszkiem; w Green Park wspaniały gotycki zamek z basztami i murami obronnymi; w Hyde Parku ustawiono kramy, kioski, stragany, huśtawki i karuzele. Specjalne lampiony miały oświetlać aleje Birdcage Walk i The Mall. Donoszono również, że pięciuset ludzi zatrudnionych było przez miesiąc przy produkcji ogni sztucznych, które miały zadziwić cały kraj.

„The Morning Post” obiecywał widowisko o niespotykanym przepychu, ale Rowena zastanawiała się, co też to może mieć wspólnego z irlandzkim księciem. Po tylu latach wojny trudno było uwierzyć, że w końcu nastął pokój i że stopniowo znikną wszystkie dręczące ich niepokoje i niedostatki. Może żywność stanieje, ludzila się. Wiedziała, iż farmerzy już obawiali się, że po wojnie cena na ich produkty znacznie spadnie. Dla jej rodziny to i tak nie będzie miało zbyt wielkiego znaczenia, pomyślała. Rozumiała, że markiz, który jak sam opowiadał, przez pięć lat służył pod Wellingtonem, musi być obecny w Carlton House, skoro jego dowódca wystąpi tam w roli honorowego gościa. Pomimo iż w „Social Gazette” nie znalazła żadnej wzmianki ani o markizie, ani o wydawanym przez księcia przyjęciu, zainteresowała się jednak pewną zamieszczoną tam notatką. Przeczytała ją kilka razy, odłożyła na bok gazety i zamyśliła się nad czymś głęboko.

Oto broń, której szukała, broń, za pomocą której może pokonać markiza raz na zawsze. Tylko, czy zdecyduje się jej użyć? Po chwili doszła do wniosku, że nie ma nic do stracenia. Jeśli zostanie odtrącona, zignorowana czy obrażona, nikt oprócz niej nie będzie o tym wiedział. Nigdy nie dopuści, aby jej ojciec poznał prawdę. Tę prawdę, która dla niego oznaczałaby zdradę. Myśl o ojcu sprawiła, iż Rowena zaczęła się wahać. Ale w końcu powiedziała sobie, że musi zrobić wszystko, aby markiz zrozumiał raz na zawsze: Nigdy nie zgodzi się na to, czego on od niej oczekuje.

- Och, mamó, pomóż mi! - wołała, patrząc na wiszący nad biurkiem portret matki, namalowany wkrótce po tym, jak wyszła za mąż.

Rowena odziedziczyła po matce włosy i oczy, kształt twarzy oraz niezwykłą słodycz. Jednak mając zaledwie dziewiętnaście lat, czuła się pod każdym względem starsza niż kiedykolwiek była jej matka. Nie miała już tak bezgranicznej wiary, z jaką patrzyła na świat, zanim poznała markiza. On pozbawił ją złudzeń i zniszczył jej ideały

„Kocham go - pomyślała. - Kocham całym sercem, a kiedy mnie całuje, wydaje mi się, że nasza miłość jest darem samego Boga". Ale prawda była zupełnie inna. Ta miłość okazała się zwykłym kuszeniem szatana i Rowena ponownie powiedziała sobie, że nienawidzi i jego, i wszystkiego, co było z nim związane. Wtedy się zdecydowała.

- Jadę do Londynu - postanowiła. Dylizans zajechał na plac Two Headed Swan w Islington i wszyscy pasażerowie wysiedli. Wprawdzie suma pieniędzy, jaką Rowena musiała wydać, była horrendalna, zdecydowała się jednak pojechać na Curzon Street dorożką. Zupełnie nie wiedziała, w jaki inny sposób mogłaby się tam dostać, poza tym, jeśli straciłaby zbyt wiele czasu, mogłaby nie zdążyć na powrotny dylizans jeszcze tego samego dnia.

Dorożkarz doskonale znał Dunvegan House, bo tam miał ją zawieźć, i kiedy zatrzymali się przed wyniosłym, posepnym pałacem, Rowena poczuła, że ręce jej drżą i zasycha jej w gardle. Zapłaciwszy za kurs, szybko wspięła się po schodach i zakolatała do drzwi.

Po chwili dobiegł ją odgłos kroków i otworzył staruszek ubrany w liberię, która zwieszając się z jego chudych ramion, sprawiała wrażenie, jakby była dla niego o wiele za duża. Wyglądał mizernie, natomiast dwaj stojący za nim lokaje w upudrowanych perukach byli wysocy i dobrze zbudowani. Przez otwarte drzwi widać było ogromny hall zastawiony ciężkimi, solidnymi meblami.

- Chciałabym mówić z hrabią Dunvegan.

- Czy jego lordowska mość spodziewa się pani? - drżącym głosem zapytał stary majordomus.

- Nie - odrzekła Rowena. - Ale proszę powiedzieć jego lordowskiej mości, że jego wnuczka pragnie się z nim zobaczyć.

Ujrzała zdziwienie w jego oczach, po czym staruszek przeszedł przez hall i otworzył przed nią drzwi.

- Zechce tu panienka poczekać - rzekł.

W pokoju, do którego ją wprowadził, ustawione były ogromne mahoniowe meble, a na oknach wisiały ciężkie zasłony z pąsowego aksamitu, które zatrzymywały rażące światło. Rowena z lękiem rozejrzała się dookoła. W napięciu oczekiwała na powrót starego sługi. Wydawało się jej, że czeka strasznie długo, jakby mijały miesiące, a nie minuty. W pewnej chwili usłyszała szuranie nóg po posadzce i drzwi się otworzyły.

- Proszę za mną, panienko. Staruszek szedł w prawdziwie żółtym tempie, ale stanęli w końcu przed ogromnymi podwójnymi drzwiami, które majordomus otworzył gwałtownym ruchem.

W głębi olbrzymiego pokoju, tuż przy kominku, siedział starszy pan. Już od pierwszego wejrzenia Rowena wiedziała, że ma przed sobą ojca jej matki. Tak właśnie go sobie wyobrażała; arystokrata o klasycznym orlim nosie, przenikliwym spojrzeniu i krzaczastych brwiach. Tylko usta i broda świadczące o uporze i determinacji były takie jak u markiza, pomyślała Rowena. Zdawało się jej, że minęły wieki, zanim do niego doszła. Zatrzymała się tuż obok leżącego przy kominku dywanu i spojrzała na dziadka ogromnymi, pełnymi lęku oczami.

- To ty jesteś moją wnuczką? - Jego głos brzmiał ostro i nic nie było w nim starczego.

- Nazywam się Rowena Winsford - powiedziała składając przed nim głęboki ukłon.

- Jesteś bardzo podobna do twojej matki. Czy to ona przysłała cię do mnie?

- Mama nie żyje! Umarła dwa lata temu.

- Nie żyje! - W jego głosie zadźwięczała nuta, która wskazywała na to, że ten starszy człowiek przeżywa straszliwy szok, usłyszawszy coś, czego zupełnie się nie spodziewał.

- Umarła wkrótce po Bożym Narodzeniu na zapalenie płuc. Zachorowała, bo w domu było bardzo zimno, a my nie mogliśmy kupić opału.

Rowenie się zdawało, że jego usta drgnęły. Odnosiła wrażenie, iż jest zbyt opanowany, aby okazać jakiegokolwiek uczucia.

- Dlaczego chciałaś się ze mną widzieć?

- Potrzebuję twojej pomocy, dziadku.

- Czy twój ojciec nie może ci jej zapewnić?

- Nie proszę o pomoc finansową - szybko dodała Rowena.

- Na to już jest za późno. Mamę mogłoby to uratować, ale ty wiesz, że nie chciała cię o nic prosić.

Po dłuższym milczeniu hrabia Dunvegan odezwał się:

- Usiądź i opowiedz mi wszystko o sobie. Rowena zdawała sobie sprawę, że to było z jego strony poważne ustępstwo. Z ulgą usiadła na stojącym tuż obok niego fotelu, czując, że jej nogi są tak słabe jak po przebyciu ciężkiej choroby.

- Skąd przyjechałaś?

- Mieszkamy na wsi, niedaleko od Hatfield.

- Wiedziałaś, że jestem w Londynie?

- Przeczytałam o tym w „The Morning Post”.

- Ale mieszkam w Szkocji, chyba wiesz.

- Mama opowiadała mi o tobie na krótko przed śmiercią. Nie miałam pojęcia, kim była, zanim wyszła za mąż, jak również o tym, że uciekła z domu z moim ojcem.

- Z pewnością powiedziała ci również, że kiedy opuściła mój dom, przestała być moją córką.

- Tak, również o tym mi powiedziała. Ale bardzo kochała mojego ojca i była z nim bardzo szczęśliwa.

Rowena umilkła, a lord, jakby nie mógł opanować ciekawości, zapytał:

- Jesteś jedynym ich dzieckiem?

- Nie. Jest jeszcze Hermiona, która ma szesnaście lat, dziesięcioletni Mark i ośmioletnia Lotty.

- Mam nadzieję, że ojciec jest w stanie was utrzymać.

- Dajemy sobie radę.

- Dlaczego więc mnie prosisz o pomoc?

- O tym właśnie chcę z tobą porozmawiać - wyjaśniła Rowena. - Chcę jednocześnie postawić sprawę jasno. Nie przyszedłem o nic błagać. Mama zawsze powtarzała, że jeśli chodzi o upór, odziedziczyłam go po tobie.

Na chwilę na ustach hrabiego pojawił się blady uśmiech.

- Jesteś uparta? - zapytał.

- Tak sędzę. Szczególnie, gdy chodzi o pewną sprawę. Dlatego właśnie tu jestem.

- Zatem co to za sprawa?

- Dotyczy markiza Swayne'a - powiedziała po chwili wahania.

- Znam go. Co go z tobą łączy?

- Chce, abym została jego kochanką!

- Jego kochanką? I co na to, do diabła, twój ojciec?

Nie ulegało wątpliwości, że Rowena nim wstrząsnęła, ale o to jej właśnie chodziło.

- Tatuś nic o tym nie wie. Markiz miał wypadek i przyniesiono go do naszego domu. Opiekowałam się nim.

- I zakochałaś się, jak sędzę? Rowena wahała się przez chwilę.

- Tak... zakochałam się w nim i myślałam, że on również się we mnie zakochał.

- A więc zaoferował ci swoją... protekcję. - W jego głosie słychać było szyderstwo.

- Ponieważ mówił, że mnie kocha, myślałam, że zechce mnie poślubić - szczerze powiedziała Rowena.

- Nie zdecydował się ożenić z córką lekarza, jak sędzę.

- Nie. Ale nawet po tym, jak mu odmówiłam, nie zostawił nas w spokoju.

Rowena opowiedziała dziadkowi o wszystkich krokach markiza.

- Tatuś uważa, że markiz jest mu po prostu wdzięczny za uratowanie życia - zauważyła. - Nie chciałam wyprowadzać go z błędu.

- Nie brałaś pod uwagę możliwości zaakceptowania jego propozycji?

- Uważasz, że mama byłaby w stanie to zaaprobować? Była twoją córką. Dobrze wiesz, że nigdy by nie zrobiła czegoś, co mogłoby kogokolwiek skrzywdzić. Wierzyła w

Boga i we wszystko, co było prawe i szlachetne. - Głos Roweny zadrżał, po chwili opanowała się jednak i tak mówiła dalej: - Mam pewien plan, dzięki któremu być może uwolnię się od markiza, ale nie będę mogła go zrealizować bez twojej pomocy.

- Co zatem wymyśliłaś? - zapytał jej dziadek. Rowena wkrótce opowiedziała mu o wszystkim. Słuchał uważnie, a kiedy skończyła, zapytał:

- Czy liczysz na to, że on ci się wtedy oświadczy? Rowena zeszywniała.

- Sądzisz, iż po tym wszystkim mogłabym go poślubić? - zdziwiła się. - Nie. Nawet gdyby był jedynym mężczyzną na świecie! Nigdy! Nigdy! - Wciągnęła głęboko powietrze, po czym, jakby w obawie, że dziadek jej nie uwierzy, zawołała: - Nienawidzę go! Nienawidzę za to, że mnie tak traktuje, że śmiał mi coś tak obrzydliwego zaproponować! - Jej głos zdawał się grzmieć w mrocznym pokoju, a kiedy hrabia milczał, Rowena podniosła się i uklękła u jego nóg. - Proszę, pomóż mi, dziadku - powiedziała. - Nie mam do kogo się z tym zwrócić. Boję się go... boję się, że wciągnie moją rodzinę w pułapkę... a wtedy nic już nie będę mogła zrobić.

Błagalnie na niego patrzyła i był taki moment, iż zdawało się jej, że przegrała, że ten człowiek, od którego tak wiele zależało, ma zamiar jej odmówić. Po czym wolno, bardzo wolno jego zacięte usta zaczęły drżeć, aż w końcu pojawił się na nich uśmiech.

- Myślę - hrabia zdawał się ważyć każde słowo - że markizowi Swayne przyda się dobra lekcja!

Rozdział 6

Książę regent w galowym mundurze feldmarszałka, z rzędami angielskich, rosyjskich, pruskich i francuskich orderów na piersi wyglądał niezwykle imponująco. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności, jak organizowanie wielkich przyjęć w Carlton House. Na tym ostatnim, które było wyrazem jego osobistego hołdu dla księcia Wellingtona, szczególnie mu zależało,

Kiedy objął regencję, natychmiast podpisał prawo do stałej renty dla bohatera spod Waterloo, a ogromne uznanie dla jego wszystkich dokonań podsunęło mu pomysł zorganizowania tej wielkiej fety.

Specjalny budynek został na tę okazję postawiony w ogrodzie. To była solidna wieloboczna budowla z cegieł, o średnicy stu dwudziestu stóp, kryta blachą ołowianą. Wnętrze zostało tak zaprojektowane, aby wprawiało w nastrój bez troski i radości. Efekt ten osiągnięto przez takie pomalowanie, wykonanego w kształcie czaszy parasola, sufitu, aby przypominał tkaninę z muślinu ozdobioną złotymi sznurami. Ściany natomiast zawieszono ogromnymi lustrami obramowanymi delikatnymi draperiami. Cudowna iluminacja dwunastu żyrandoli była olśniewająca. Na podłodze ustawiono ogromne klomby ze sztucznych kwiatów do złudzenia przypominające maleńkie świątynie, wewnątrz których kryli się grajkwie. Kryta promenada, udekorowana draperiami z różowych sznurów, prowadziła do świątyni korynckiej, gdzie goście mogli podziwiać marmurowe popiersie Wielkiego Księcia Turnerellego ustawione na kolumnie na tle ogromnego lustra. W ogrodzie rozbito specjalne namioty, w których miała być podana kolacja. Przygotowano również pomieszczenia do wypoczynku ozdobione białymi i różowymi kotarami oraz barwnymi odznakami różnych pułków.

- Co o tym sądzisz, Swayne? - zapytał regent, zwracając się do markiza.

- Ma się pan czym poszczycić, sir. - Słowa te wyraźnie sprawiły regentowi przyjemność.

Jego królewska wysokość zajmował się również organizacją zabaw w londyńskich parkach. Jedynie „The Times” nie przyłączył się do chóru zachwytów i opublikował dosyć krytyczny artykuł przewidujący, iż: „Publiczność najpierw będzie się gapić na maskaradę, następnie wyśmiewać z jej autorów, a w końcu narzekać na koszty”.

Rankiem 1 sierpnia wszystko wskazywało na to, że czarne przepowiednie „The Timesa” w pełni się sprawdzą, ponieważ z nieba dosłownie lały się potoki deszczu. Między dziesiątą a jedenastą wyszło jednak słońce i rozpoczęły się uroczystości.

Markiz ze swego domu na Park Lane mógł słyszeć gwar głosów i huk wystrzeliwanych w górę rakiet, z których każda zdawała się rozpryskiwać na miliony niniejszych. Dochodziły go również odgłosy regat w Hyde Parku na stawie The Serpentine. W zainscenizowanej bitwie morskiej pokazano również zatopienie floty francuskiej przez angielskie brandery (Brander - jednostka pływająca, służąca do podpalania floty nieprzyjacielskiej (przyp. tłum.)). Był jednak zbyt zaangażowany w uroczystości w Carlton House, aby mógł sobie pozwolić na obejrzenie innych atrakcji.

Jako bliski przyjaciel zarówno jego królewskiej wysokości, jak i samego księcia, markiz musiał sam podejmować zgodne z etykietą decyzje dotyczące kolejności siadania przy stole i tysiąca innych ważnych rzeczy. Te sprawy pochłonięły go bez reszty aż do chwili, gdy około dziewiątej wieczorem w Carlton House zaczęli pojawiać się pierwsi z dwóch tysięcy zaproszonych gości. Witano ich przy głównym wejściu i kierowano do najróżnorodniejszych pomieszczeń, namiotów i malowniczych zakątków ogrodu.

Regent osobiście witał tych, którzy byli z nim zaprzyjaźnieni i już od pierwszej chwili ustawiła się przed nim długa kolejka gości pragnących uścisnąć jego dłoń. Regent chełpił się swoją pamięcią, co nie przeszkadzało, że bez przerwy pytał markiza o nazwiska podchodzących do niego osób.

- Kim jest ta dama? - zapytał w pewnej chwili.

Markiz podniósł wzrok znad trzymanego w ręku planu rozmieszczenia stołów i ujrzał wyjątkowo piękną kobietę dosłownie obwieszoną diamentami, z którą kiedyś miał romans.

- Lady Warburton, sir.

- Racja, przypominam sobie! - przytaknął regent i kiedy lady Warburton złożyła przed nim głęboki ukłon, wyciągnął do niej rękę i pozdrowił wylewnie, na co piękność odpowiedziała czarującym uśmiechem. - Szatańsko piękna kobieta! - rzekł do markiza, kiedy dama już się oddaliła. - Sprawdź, czy podczas kolacji siedzi przy moim stole.

Markiz westchnął. Zmieniał już miejsca gości z dziesięć razy i zaczął się zastanawiać, kogo przenieść do innego stołu, aby go jednocześnie nie urazić.

- Kto to jest, mój drogi? - znowu zapytał regent. Markiz uniósł głowę i ujrzał w drzwiach wspaniałą postać mężczyzny w stroju góralskich szkockich. Chwilę się wahał, po czym z miną kuglarza wyciągającego królika z kapelusza, zawołał:

- Mam! To hrabia Dunvegan, sir.

- Naturalnie, od razu go poznałem! - Kiedy hrabia skinął głową, regent wyciągnął do niego rękę. - Czuję się zaszczycony pańską obecnością, milordzie - rzekł. - Wiem, iż bardzo rzadko przyjeżdża pan do Londynu.

- To wielki dla mnie honor brać udział w przyjęciu z takiej okazji - odparł hrabia.

- Ogromnie się cieszę, że jest pan wśród nas, milordzie - powtórzył regent.

- Jesteś, panie, niezwykle uprzejmy - odrzekł hrabia. - Czy pozwolisz, abym przedstawił ci moją wnuczkę, która jest po raz pierwszy w Londynie.

- Oczywiście! - Rowena złożyła głęboki ukłon, a wtedy regent, patrząc na nią z zachwytem, powiedział: - Jest bardzo ładna, milordzie. Naprawdę bardzo ładna! Musi pan być z niej dumny.

- Jestem bardzo dumny! - przyznał hrabia. Regent nieco dłużej przytrzymał rękę Roweny.

- Jak masz na imię, moja droga? - zapytał z takim wyrazem w oczach, który każdą kobietę przyprawiał zwykle o zawrót głowy.

- Rowena, sir.

- Z pewnością będziesz jedną z najpiękniejszych kobiet na moim dzisiejszym przyjęciu.

Słyszając imię Rowena markiz uniósł głowę i oniemiał.

- Dobry wieczór, Swayne - odezwał się do niego hrabia.

- Dobry wieczór, milordzie. Dawno się nie widzieliśmy - odpowiedział markiz z widocznym wysiłkiem.

- Było to chyba siedem lat temu, kiedy ze swoim ojcem przyjechałeś do mojego zamku.

- Tak, milordzie.

- Ona jest czarująca! Doprawdy czarująca! - powtarzał regent. - Swayne, upewnij się, czy hrabia Dunvegan i jego wnuczka siedzą przy moim stole.

- Oczywiście, sir.

- Sądzę, iż zna pan już moją wnuczkę - zwrócił się hrabia do markiza.

- Spotkaliśmy się już, milordzie. Markizowi wydawało się, że śni. Ta dziewczyna tak bardzo się różniła od Roweny z Little Powick. Jej suknia z białej gazy uszyta była według

najnowszej mody, a włosy upięte w stylu, który z kontynentu dopiero co trafił do londyńskich salonów. Szyję otaczała wspaniała kolia z niebieskobiałych diamentów, która jak markiz przypuszczał, była częścią kolekcji Dunveganów.

Markiz czuł się tak, jakby jego umysł nagle przestał funkcjonować. Usiłował coś powiedzieć, ale nic rozsądnego nie przychodziło mu do głowy. Nie potrafił nawet wyrazić Rowenie uznania za pełen gracji ukłon, jaki złożyła, kiedy byli sobie przedstawieni.

- Z pewnością jeszcze się zobaczymy podczas kolacji, milordzie - powiedział do niego hrabia, po czym ująwszy Rowenę pod ramię, wyprowadził przez taras do ogrodu.

Tyle było tu do obejrzenia, nie tylko na ścianach krytej promenady, gdzie goście mogli podziwiać wspaniałe obrazy o tematyce takiej jak: „Sława wojenna” czy „Obalenie tyranii przez siły sprzymierzone”, ale również wewnątrz domu.

Rowena zawsze pragnęła zobaczyć Pokój Chiński oraz Niebieski Salon z bezcenną kolekcją obrazów i wyśmienitych miniatur. Ale nawet wtedy, gdy dziadek pokazywał jej najcenniejsze skarby, nie mogła uwolnić się od myśli o markizie. Zaskoczyła go, a nawet zdumiała, ale o to jej właśnie chodziło. Skromna córka lekarza zadała mu cios tym boleśniejszy, że naruszyła teren, który był zastrzeżony wyłącznie dla niego. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że jeśli chodzi o genealogię, to Dunveganowie nie tylko dorównywali Swayne'om, ale będąc częścią Szkocji od zarania jej dziejów, nawet ich przewyższali.

Kiedy Rowena po raz pierwszy dowiedziała się od swojej matki, w jaką straszną furję wpadł hrabia na wiadomość, iż jego jedyna córka chce poślubić zwykłego wiejskiego lekarza, jej oburzenie na snobizm dziadka nie miało granic. Dlatego właśnie bardzo jej się nie spodobało, że markiz aż tak wielką wagę przywiązuje do genealogii. Zawsze wydawało się jej

niesprawiedliwe, że jej dobrze urodzony dziadek nie cenił uczciwości jej ojca i jego szlachetnego charakteru. Nie mogła uwierzyć, że nie miało to dla niego znaczenia, iż jej ojciec uczynił z jej matki, jak sama to często powtarzała, „najszcześniejszą kobietę na świecie”. Fakt, że jej dziadek nie zezwolił na ten związek, i że matka zmuszona była uciec z domu, sprawił, iż Rowena uznała hrabiego Dunvegan za tyrana, z którym nie chciała mieć nic wspólnego.

- Mówię ci to w wielkim sekrecie, Roweno - z naciskiem powiedziała jej matka. - Nie wolno ci nigdy rozmawiać o tym z ojcem, ponieważ bardzo by go to zabolowało. Ogromnie to przeżywa, że zrezygnowałam ze swojej pozycji towarzyskiej i komfortu, do którego przywykłam od dziecka, i że zdecydowałam się żyć z nim w tak skromnych warunkach, a nawet biedzie. Ale dla mnie nigdy nie miało to najmniejszego znaczenia. - Jej twarz rozpromienił uśmiech, kiedy dodała: - Twój ojciec to najwspanialszy mężczyzna na świecie. On jest po prostu moim przeznaczeniem, Roweno.

- Ale, mamo, gdybyś wróciła do należnego ci tytułu, gdyby ludzie dowiedzieli się, kim jest lady Elizabeth Winsford, być może do ojca zgłosiliby się znamienici i bogaci pacjenci.

- To z pewnością zraniłoby jego dumę - szybko dodała jej matka. - Mój ojciec zarzucił mu, iż nie potrafi mnie utrzymać. A więc postanowił, że obejdzie się bez pomocy rodziny, która się mnie wyrzekła.

- Musiało to być bardzo bolesne, mamusiu - ze współczuciem rzekła Rowena.

- Tak, zwłaszcza dlatego, że mówili źle o twoim ojcu i nie chcieli widzieć jego zalet. Ale nasza miłość była ważniejsza niż pozycja towarzyska czy pieniądze i powtarzałam za bibliją Rut:

Twój naród będzie moim narodem, a twój Bóg będzie moim Bogiem.

- To cudowne, mamó, że uciekłaś. Boję się, iż mnie nie wystarczyłoby odwagi, aby postąpić tak jak ty. - Rowena objęła matkę serdecznie i ucałowała.

- Myślę, że wystarczyłoby - z przekonaniem odrzekła jej matka. - Czasami ogromnie mi przypominasz twojego dziadka. Jesteś tak samo jak on uparta i tak samo wytrwale dążysz do raz wytkniętego celu.

Oto dlaczego Rowena postanowiła odszukać hrabiego Dunvegan i skłonić do udziału w bitwie, która w tej chwili była dla niej ważniejsza nawet niż lojalność w stosunku do ojca. Pomyślała, że teraz markiz będzie się wstydził swojego zachowania. Jednocześnie bardzo pragnęła, aby ten triumf nie przyniósł jej ze sobą goryczy, ponieważ jeśli markiz poprosi ją o rękę, zmuszona będzie mu odmówić.

Chociaż widziała dookoła tyle wspaniałych rzeczy i chociaż uczestniczyła w wytwornej kolacji siedząc przy stole regenta wśród błyskotliwego i dystyngowanego towarzystwa, nie mogła na to poradzić, że jej oczy wciąż szukały markiza. Widziała go przy kolacji, ale zajmował miejsce daleko, prawie w drugim końcu stołu. Poczowała lekkie ukłucie zazdrości, ponieważ z obu jego stron siedziały dwie niezwykle atrakcyjne i piękne kobiety. Obydwie miały na sobie olśniewające klejnoty, a ich nagie ramiona były tak blisko niego. „Takie właśnie kobiety mu się podobają, - pomyślała. - Cóż może mieć z nimi wspólnego córka wiejskiego lekarza?”

Kolacja dobiegła końca, ale nikt jeszcze nie wstał od stołu. Królowa, która podejmowała trzystu gości w pałacu Buckingham, zjawiała się później i aż do drugiej nie usiadła do kolacji. Osoby, które przybyły wraz z nią, opowiadały o tragedii, jaka wydarzyła się w Green Park.

Od japońskich lampionów zajął się dach na pagodzie, która runęła do wody jeziora, zabijając latarnika i raniąc pięciu innych robotników. Obserwujący to wszystko tłum szalał z zachwytu, sądząc, iż ta scena jest częścią widowiska.

Hrabia Dunvegan został wylewnie powitany przez księcia Wellingtona, po czym ku swojej radości wśród dowódców szkockich regimentów znalazł się wśród swoich starych przyjaciół.

Wspomnieniom nie było końca i Rowena oddaliła się, aby w samotności podziwiać sztuczne strumienie płynące w ogrodzie oraz wspaniałe kompozycje kwiatowe. Właśnie przyglądała się nie znanym jej roślinom, które, jak sądziła, musiały być sprowadzone z zagranicy, kiedy tuż za nią usłyszała dobrze jej znany głęboki głos:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - Serce zabiło jej z radości, ale miała na tyle silnej woli, że nawet nie drgnęła. Stała dalej w milczeniu i markiz ponownie zapytał: - Skąd miałem wiedzieć, że hrabia Dunvegan jest twoim dziadkiem?

- On wyparł się mojej matki z powodu jej małżeństwa - odparła Rowena. - I ja nie miałam ochoty nawiązywać z nim żadnych kontaktów aż do chwili, kiedy uznałam, że mogę w nim znaleźć obrońcę.

Nie musiała wyjaśniać, o jakiego obrońcę jej chodziło. Była pewna, iż markiz dobrze ją zrozumiał.

- Zapewne twoja rodzina nie wie, że tu jesteś? To właśnie był słaby punkt w całym jej planie.

Z goryczą pomyślała, iż od razu powziął takie podejrzenie..

- Nie - odparła. - I chciałabym prosić, aby pan nie ranił mojego ojca, zdradzając mu to, o czym nie powinien wiedzieć. - Odwróciła się po chwili i dodała: - To zresztą nie pańska sprawa! Teraz, mam nadzieję, milordzie, że wreszcie zostawi

mnie pan w spokoju i przestanie mi się naprzykrzać, tak jak to pan czynił do tej pory.

- Czy rzeczywiście tak uważasz? - zapytał markiz.

Rowena zmusiła się, aby spojrzeć na niego. Jego twarz była dobrze widoczna w świetle lampionu zawieszzonego na gałęzi pobliskiego drzewa. Nie wydawało się, aby czekał na odpowiedź, ponieważ po chwili zauważył:

- Wyglądasz bardzo ładnie! Nigdy nie widziałem cię w wieczorowej toalecie i do tego w diamentach. Żałuję tylko, że nie dostałaś ich ode mnie.

- Nareszcie dotarło do pana, że poprosiłam mojego dziadka, aby wziął mnie w obronę.

- I sądzisz, że mu się to uda?

- Myślę, że w końcu pan zrozumie, kiedy usłyszysz, co mój dziadek ma w tej sprawie do powiedzenia. To będzie rozmowa jak równy z równym.

Markiz roześmiał się cicho.

- Twoje oczy błyszczą, co jak wiesz, zawsze ogromnie mnie ekscytuje - rzekł. - Czyżbyś sądziła, Roweno, iż jestem aż tak bojaźliwy, że zaakceptuję porażkę, że będę się bał szkockiego miecza? - Dziwna nuta pojawiła się w jego głosie, kiedy z satysfakcją dodał: - Gdy o ciebie chodzi, nigdy nie przyjmę do wiadomości porażki. Będę o ciebie walczył, aż przyjdzie ta chwila, kiedy się poddasz, za czym dawno już tęskni twoje serce, chociaż twój rozum jeszcze temu przeczy.

- Nienawidzę pana! - z furią wykrzyknęła Rowena.

- Przeciwnie, moja droga - wtrącił markiz. - Ty mnie kochasz, nie mniej niż ja ciebie. Należymy do siebie.

- Myli się pan i nie mam zamiaru dłużej pana słuchać.

W pobliżu pokazała się grupka gości. Rowena wiedząc, iż markiz nie ośmieli się teraz zrobić jej sceny, odwróciła się szybko i odeszła. Było już bardzo późno, kiedy wracali do

domu. Powóz wjechał właśnie na Curzon Street i Rowena nagle zwróciła się do hrabiego:

- Chciałabym prosić cię, dziadku, abyś porozmawiał z markizem i powiedział mu, aby dał mi spokój.

- Widziałem, jak rozmawiał z tobą - rzekł hrabia. - Czy teraz, kiedy się dowiedział, że jesteś moją wnuczką, zaproponował ci małżeństwo?

- Oświadczył mi, że będzie o mnie walczył - odpowiedziała Rowena. - Nie oceniam go aż tak źle. Nawet on nie mógłby od razu zmienić zdania tylko dlatego, że mam znamienitego dziadka.

- Gdybym był młodszy, wyzwiałbym go na pojedynek - zauważył hrabia. - Ale ponieważ jest, jak jest, powiem mu nie owijając w bawełnę, co myślę o jego zachowaniu.

- Proszę, zrób to, dziadku! Być może będzie usiłował się ze mną spotkać, zanim jutro wyjadę z Londynu.

Hrabia umilkł na chwilę, po czym, jakby go coś dręczyło, zapytał:

- Masz zamiar wrócić do domu?

- Tak, dziadku. Nie chciałabym, aby moja rodzina dowiedziała się, gdzie jestem, ani po co pojechałam do Londynu. Zbyt wiele musiałabym im wyjaśniać.

- Rozumiem - rzekł hrabia. - Ale będzie mi ciebie brakowało.

Tego Rowena nie spodziewała się usłyszeć i pod wpływem impulsu wsunęła rękę do jego dłoni.

- Myślę, że mama bardzo by się cieszyła z naszego spotkania - wyszeptała. - Może któregoś dnia znów się zobaczymy.

- Chciałbym cię zabrać ze sobą do Szkocji - mruknął. - Byłem z ciebie dziś bardzo dumny, moja droga. Mój syn ma troje dzieci, ale ty jesteś moją najstarszą wnuczką.

- Z przyjemnością poznałabym moich kuzynów. Niestety, wiesz, że to niemożliwe. Tatusia bardzo by to zabolalo... i dlatego nigdy nie mogę się przyznać, że zwróciłam się do ciebie o pomoc. - Hrabia w milczeniu wciąż trzymał jej drobną dłoń i Rowena po chwili dodała: - Hermiona zapowiada się na prawdziwą piękność, a Lotty jest bardzo podobna do mamy. Być może pewnego dnia również je poznasz.

- Musimy o tym pomyśleć - rzekł hrabia. - Kiedy poślubisz Swayne'a, może zamieszkacie ze mną.

Rowena podskoczyła, jakby nagle ją coś ukłuło.

- Poślubić Swayne'a?! - wykrzyknęła. - Wiesz przecież, dziadku, że tego nigdy nie zrobię!

- Ale przecież go kochasz?

W powozie zaległa cisza. Po chwili Rowena przyznała:

- Tak, kocham go. Ale jednocześnie nim gardzę. Nigdy nie bylibyśmy ze sobą szczęśliwi, ponieważ nigdy nie mogłabym zapomnieć, iż poślubił mnie tylko dlatego, że w moich żyłach płynie twoja krew.

Tyle cierpienia było w jej głosie, że hrabia zacisnął palce na jej dłoni, jakby chciał ją pocieszyć, i powiedział:

- Nie uważasz, że żądasz zbyt wiele? Związki krwi, moja droga, to coś, co zawsze liczy się najbardziej. Wszyscy członkowie wielkich rodów są bardzo dumni ze swojej historii i swoich przodków.

Wiedziała, że miał na myśli powody, dla których nigdy nie zaakceptował wiejskiego lekarza i nie wyraził zgody ślub.

Po chwili milczenia Rowena odpowiedziała:

- Mama była bardzo szczęśliwa, chociaż wiedziała, że tatuś pochodzi z prostej rodziny. Gdyby markiz był gotów ożenić się ze mną wtedy, gdy sądził, iż jestem zwykłą panną Winsford, wiem, że my również moglibyśmy być szczęśliwi.

Ale teraz wyrosła między nami bariera nie do pokonania. I nic, co on zrobi czy powie, nie jest już w stanie tego zmienić.

- Szkoda - rzekł hrabia. - Może i jest trochę próżny, ale księżę powiedział mi dziś wieczorem, że to znakomity żołnierz i urodzony przywódca.

- Mówiłeś o nim z księciem?

- Chciałem poznać jego opinię - odrzekł hrabia.

Rowena była pewna, że księżę miał rację. Markiz z pewnością jest dobrym żołnierzem oraz rzetelnym i stanowczym dowódcą, który nigdy nie zaakceptuje porażki. Tylko w jej przypadku to się nie sprawdzi, pomyślała. Tak jak powiedziała swemu dziadkowi, między nią a markizem wyrosła bariera nie do pokonania. Nawet gdyby padł teraz przed nią na kolana i błagał, aby została jego żoną, nigdy już nie poczułaby się tak jak wtedy, gdy ją pierwszy raz pocałował i gdy na całym świecie nikt dla niej nie istniał tylko on.

Rowena siedziała w sypialni przed lustrem i patrzyła na swoje odbicie. Wiedziała, że ostatni już raz wygląda tak wytwornie i nigdy już diamenty nie ozdobią jej szyi. Były one oczywiście częścią kolekcji Dunveganów.

Zanim wyruszyli w drogę do Carlton House, hrabia wyciągnął z sejfu mnóstwo najróżnorodniejszych kasetek i otworzył je, aby Rowena mogła dokonać wyboru. Wszystkie klejnoty były olśniewająco piękne. Oczy Roweny przyciągały wspaniałe naszyjniki ze szmaragdów, szafirów i ametystów. Kolia diamentowa wydawała się najskromniejsza, chociaż duże błękitnobiałe kamienie z pewnością były bardziej drogocenne od wielu innych. Rowena zapytała, czy może tę kolę założyć, i dziadek zapiął misterny zamek na jej szyi.

Suknię, na którą się zdecydowała, przyniesiono wraz z kilkoma innymi od nadwornego krawca przy Bond Street. Na szczęście żadna nie wymagała zbyt wielu poprawek, a ta,

którą Rowena wybrała na przyjęcie do Carlton House, była najpiękniejszą suknią, jaką kiedykolwiek widziała.

- Jak mam ci dziękować, dziadku? - zapytała Rowena, kiedy demonstrowała przed nim kreację, w której miała zamiar wystąpić.

- Sprawiałaś, że pomyślałem o twojej matce - odrzekł po prostu hrabia.

Rowena wiedziała, że starczyło mu to za wszystkie podziękowania, i że przez pamięć dla swej córki zabrał ją do Carlton House.

Kiedy idąc spać pocałowała go na dobranoc, widziała, że był zaskoczony, ale jednocześnie bardzo wzruszony.

- Dziękuję, dziadku - szepnęła. - Jestem szczęśliwa, że mogłam tobie towarzyszyć i spotkać nie tylko regenta, ale również tych wszystkich fascynujących ludzi. Nigdy tego nie zapomnę!

- Ja również - przyznał hrabia.

Rowena chwilę na niego patrzyła, po czym zapytała o coś, co ją od dawna nurtowało:

- Dziadku, czy duma, którą ty i markiz tak bardzo cenicie, znaczy dla was więcej niż smutek i ból nawet wtedy, kiedy wchodzi w konflikt z miłością?

Starszy pan spojrzał na nią uważnie spod krzaczastych brwi, po czym odparł:

- Nasi przodkowie przez wieki za tę dumę walczyli i ginęli. Ona jest naszą największą wartością. Jeślibyśmy się jej wyrzekli, czulibyśmy się jak renegaci i zdrajcy.

Mówił ze szczerością, która robiła wrażenie, i Rowena cichutko westchnęła.

- Rozumiem - powiedziała. - Przynajmniej... tak mi się zdaje. Przypuszczam, iż jestem jedną spośród setek, być może tysięcy osób, które cierpią z powodu dumy.

- Dla wielu innych natomiast - wtrącił hrabia - duma jest w życiu najważniejsza i przynosi satysfakcję, a czasami sławę, która znaczy więcej niż szczęście osobiste. - Sposób, w jaki to powiedział, dał jej do zrozumienia, iż hrabia uważa temat za zamknięty.

Rowena położyła się do łóżka, ale długo nie mogła zasnąć. Wciąż myślała o słowach dziadka. Odnosiła wrażenie, że mówił nie tylko w swoim imieniu, ale również markiza, a być może i wszystkich innych arystokratycznych rodów, które rezygnację z osobistych spraw traktowały jako swój obowiązek. Mimo to dziewczyna często była przekonana, że przedstawiciele arystokratycznych rodzin często zawierali związki małżeńskie z osobami z nie swojej sfery. Ale odpowiedź zdawała się prosta: te osoby musiały najwidoczniej mieć coś takiego do zaoferowania, co miało znaczenie dla całej rodziny - wielką fortunę, setki akrów ziemi albo nieruchomości w Londynie, których wynajem przynosił im wielkie fortuny.

„Ja poza ładną twarzą nie mam nic! - ze smutkiem uświadomiła to sobie Rowena. - A to przecież nie wystarczy”.

Wspomnienie o tym, jak markiz usiłował jej wyjaśnić, dlaczego nie może zaproponować jej małżeństwa, prześladowało ją każdej niemal nocy. Wciąż go widziała, jak stoi przy oknie i mówi, starannie dobierając słowa. Zdawało się jej, że wciąż słyszy jego głos.

- Powinienem ci wcześniej wyjaśnić, iż w świecie, w którym ja żyję, miłość i małżeństwo to dwa zupełnie różne pojęcia. - Następnie, widząc, że sprawia jej ból, dodał: - To kwestia łączenia się między sobą jedynie szlacheckiej krwi i stawiania dobra rodziny i dziedziczenia na pierwszym miejscu.

Takie właśnie były prawdy, które wyznawał markiz i dziadek, kiedy nie godził się na małżeństwo swojej córki.

Rowena zdawała sobie sprawę, że nic, co by powiedziała czy zrobiła, nie jest w stanie zmienić ich przekonań. Miała tylko nadzieję, że markiz tak samo cierpi jak ona, wiedząc, iż z chwilą gdy odmówił poślubienia jej, zniszczył ich jedyną szansę na szczęście. „Gdyby był bardziej spostrzegawczy, a jednocześnie mniej zarozumiały - powiedziała sobie - wiedziałby, że nie pochodzę z gminu, że w moich żyłach płynie również błękitna krew... tak samo błękitna jak jego". Po chwili jednak pomyślała, iż po tym, co widział w ich domu, trudno było oczekiwać, że sam domyśli się prawdy. Ale przecież, kiedy zszedł na dół, musiał widzieć wiszący w gabinecie portret jej matki. Poza jej wspaniałą urodą nie mógł nie dostrzec arystokratycznych rysów jej twarzy.

Nagle Rowena roześmiała się gorzko. Ona miała te same rysy, to samo spojrzenie. Zresztą nie tylko ona, jej rodzeństwo również! Jednak markiz nie dostrzegł tego, ponieważ nie zostało to wypisane w drzewie genealogicznym, którego po prostu nie posiadali! Gdy chodziło o genealogię, liczyły się tylko fakty; instynkt i odczucia nie miały żadnego znaczenia.

- Nienawidzę go! Nienawidzę! - powtarzała z uporem.

Po czym przypomniawszy sobie, jak wspaniale dziś wyglądał w mundurze z wszystkimi odznaczeniami na piersi, desperacko pomyślała, iż niezależnie od tego, co mówi i robi, jego obraz na zawsze pozostanie w jej sercu.

Wyjeżdżając powozem hrabiego z Londynu Rowena liczyła na to, że jeśli woźnica wysadzi ją na skrzyżowaniu, skąd było już blisko do Little Powick, zostawi bagaż w jednej z pobliskich chat i w ciągu dwudziestu minut dojdzie do wioski. W domu powinna być przed czwartą a do tej godziny ojciec z pewnością nie wróci jeszcze od swoich pacjentów, a Hermiona i Mark z lekcji. Bez problemu zdąży więc przebrać się w codzienne ubranie.

Nie chciała, aby ktoś z jej rodziny zobaczył ją tak wytwornie ubraną. Miała na sobie piękną wizytową suknię, którą podarował jej dziadek, a na głowie śliczny słomkowy kapelusz przybrany kwiatami, jakich ostatnio pełno było na Bond Street. Nie chciała sprawić przykrości dziadkowi, odmawiając przyjęcia sukni. Był taki szlachetny i dobry, że zrobiłaby dla niego wszystko, aby tylko sprawić mu przyjemność.

Pocałowała go w policzek na pożegnanie i kiedy odprowadzał ją do powozu, powiedziała:

- Naprawdę mogłabym wrócić dyliżansem.
- Nie chcę, abyś podróżowała sama, zdana na przypadkowe towarzystwo - odrzekł stanowczo.

Rowena poddała się, ale decyzja dziadka nieoczekiwanie skomplikowała sprawę i trzeba było coś wymyślić. Pomyślała, że niezwykle trudno jest uniknąć zranienia dziadka, nie raniąc jednocześnie ojca. Nie ulegało wątpliwości, że hrabia wciąż czuł głęboką urazę do mężczyzny, który zabrał mu córkę, i Rowena nic nie mogła na to poradzić.

Pomimo iż czuła, że nie powinna przyjmować od hrabiego żadnych strojów poza suknią, którą miała na sobie na przyjęciu w Carlton House, nie potrafiła mu odmówić, gdy wybrał dla niej jeszcze kilka innych sukien oraz wyjątkowo urocze kapelusze.

„Podzielę się nimi z Hermioną” - postanowiła. Dokładnie wszystko rozważywszy zdecydowała, iż jeśli wkładać je będzie tylko od czasu do czasu w sposób zupełnie naturalny, ojciec być może nawet nie zauważy zmiany w wyglądzie swej córki.

Rowena po raz pierwszy w życiu była tak elegancko ubrana i świadomość, że wspaniale się prezentuje, sprawiała jej dużą satysfakcję. Ekscytowało ją również, że podróżuje należącym do hrabiego wygodnym, chociaż nieco

staroświeckim powozem, zaprzężonym w cztery rasowe konie. Wprawdzie w niczym nie przypominały one wspaniałych koni markiza, tak jak i starszy siwowłosy woźnica w niczym nie przypominał Sama, ale dla Roweny i tak były symbolem najwyższego luksusu.

Opuściwszy Dunvegan House, Rowena zajęła wygodne miejsce w powozie, aby rozkoszować się podróżą i tym, że chociaż przez chwilę mogła się czuć bogata i wyglądać jak wielka dama. „Nikt z mieszkańców Little Powick - pomyślała - nie uwierzyłby, gdzie byłam poprzedniego wieczoru”. Wiedziała, że trudno jej będzie nie opowiedzieć Hermionie wszystkiego o przyjęciu w Carlton House, o pięknych sukniach i oszałamiających klejnotach gości, jak również o samym regencie.

Często czytała o nim w gazetach, oglądała jego karykatury, gdy się czasem pojawiały w gazetach, ale nie sądziła, że jest tak gruby. Miał jednak niezaprzeczalny urok, a kiedy obserwowała go w czasie kolacji, stwierdziła, że wyróżniał się ponadto wyjątkową inteligencją i że nawet najbardziej dystyngowani goście z uwagą słuchają jego słów. Nie dziwiła się więc, że markiz darzy go sympatią i chce należeć do grona jego najbliższych przyjaciół. Powiedziała jednak sobie, że to, co markiz lubi, lub to, czego nie lubi, z nią nie ma nic wspólnego, i im szybciej przestanie o nim myśleć, tym dla niej będzie lepiej.

Tymczasem wyjechali już poza rogatki miasta i powóz toczył się po pokrytych kurzem drogach, którymi zmierzała do Londynu siedząc w zatłoczonym dyliżansie. Konie pędziły i Rowena zorientowała się, że dojadą do skrzyżowania wcześniej, niż przypuszczała. Miała tylko nadzieję, że o tej porze nie spotka nikogo znajomego. „Z pewnością zwróciliby na mnie uwagę”, pomyślała. Natychmiast jednak przypomniała sobie, że o tej porze zarówno mężczyźni, jak i

kobiety zajęci są w polu przy żniwach. We wsi pozostali jedynie starcy, chorzy i małe dzieci.

„Niepotrzebnie się tak obawiam - powiedziała sobie Rowena. - Najlepiej by jednak było, gdyby nikt mnie nie zobaczył. Uniknęłabym w ten sposób zbyt wielu dociekliwych pytań”.

Powóz jechał coraz szybciej i Rowena nagle zapragnęła znaleźć się na zewnątrz tuż przy woźnicy. Nigdy nie lubiła jazdy w środku powozu. Przypomniała jej się zwariowana jazda faetonem markiza zaprzężonym w czwórkę wspaniałych kasztanów, kiedy wyruszyli na poszukiwanie Marka.

Nieoczekiwanie konie gwałtownie się zatrzymały.

- Co się stało?! - zawołała Rowena, przestraszona, że padli ofiarą rozboju.

Usłyszała, jak woźnica krzyczy coś ochryłym głosem. Wyrzała więc przez okno, aby zorientować się w sytuacji. W tej samej chwili zamarła z wrażenia: w poprzek drogi stał faeton zaprzęgnięty w czwórkę koni, jakiś pacholek biegł w stronę jej powozu i kiedy Rowena poznała Sama, opadła na siedzenie, czując, jak jej serce bije nieprzytomnie.

- Co to ma znaczyć? Dlaczego nas zatrzymałeś? - usłyszała głos starego woźnicy.

- Mam wiadomość dla panny Winsford. - Sam podszedł do okna powozu. - Jego lordowska mość pyta, panienko, czy zaraz przesiądzie się pani do jego faetonu. Stało się coś bardzo ważnego.

- Co takiego?! - z przerażeniem zawołała Rowena. - Wypadek?

- Jego lordowska mość nic więcej nie powiedział, panienko.

Rowena patrząc uważnie na Sama, zapytała:

- Co się stało, Sam? Ty musisz wiedzieć. - Po czym z rozpaczą zapytała: - To nie... panicz Mark?

- Nie wiem, panienko. Naprawdę nie wiem - odrzekł Sam.
- Ale jego lordowska mość ma na pewno ważną sprawę.

- Co mogło się stać?

Byli tak blisko Little Powick, że gdyby markiz planował jakiś podstęp, z pewnością pojechałby za nią aż do skrzyżowania i zabrał ją stamtąd, kiedy powóz już odjedzie.

Jednocześnie nie miała chęci robić tego, czego sobie życzył, chyba że miało to jakiś związek z jej... rodziną. Może jej brat uległ takiemu samemu wypadkowi jak niedawno markiz?

- Porozmawiam z jego lordowska mością - oświadczyła po chwili namysłu.

Sam otworzył drzwi powozu i Rowena wysiadła. Kiedy szła w kierunku markiza, usłyszała, jak Sam prosi woźnicę o przeniesienie jej bagażu. Doszła do faetonu i podniosła do góry głowę spojrzała na markiza.

- Co się stało? Czy wydarzył się jakiś wypadek? - Chociaż starała się zachować spokój, w jej głosie słychać było trwogę.

- Wsiadaj, proszę. Zaraz ci wszystko wyjaśnię - odrzekł markiz,

Rowena chwilę się wahała, ale uspokoiła się, widząc, że Sam i woźnica są w pobliżu. Wciąż niepewnie, jakby nie do końca przekonana, postawiła nogę na stopniu, a wtedy markiz wyciągnął do niej rękę. Chociaż nie bardzo miała na to ochotę, skorzystała z jego pomocy i wspięła się na górę, aby zająć tuż obok niego miejsce. Kiedy usiadła, markiz wyjął z kieszeni gwineę i rzucił ją w stronę woźnicy hrabiego, który właśnie umieszczał bagaż Roweny z tyłu faetonu. Stary służący złapał złotą monetę i wyszczerzywszy w uśmiechu zęby, dotknął ręką runda kapelusza.

- Dzięki, milordzie.

Markiz wprowadził konie na środek drogi i faeton ruszył. Wszystko wydarzyło się tak nagle, że Rowena nie zdążyła nawet podziękować służącemu dziadka. Dopiero teraz zaczęła się zastanawiać, dlaczego właściwie zdecydowała się przesiąść do powozu markiza.

- Dokąd jedziemy? - zapytała po chwili, zaniepokojona jego milczeniem. Kiedy w dalszym ciągu się nie odzywał, poirytowana dodała: - Żądam odpowiedzi, dlaczego mnie pan zatrzymał i do tego w taki sposób. Jeśli to jakaś zła wiadomość, lepiej, abym ją usłyszała natychmiast, a nie wyobrażała sobie coś, co wcale nie musiało się zdarzyć.

- Uspokój się. Nie było żadnego wypadku.

- Nie miał pan wobec tego żadnego prawa zatrzymywać mnie w tak nagły sposób.

- Myślę, iż mam wszelkie prawa!

Rowena spojrzała na niego podejrzliwie. Jego twarz była zacięta i jeszcze bardziej agresywna niż zwykle.

- Sądziłam, iż w końcu dotarło do pana, że nie życzę sobie żadnych z nim spotkań - zauważyła.

- Rzeczywiście, wyraziłaś się zupełnie jasno.

- Dlaczego więc nie robi pan tego, o co proszę, i nie zostawi mnie w spokoju?

- Niestety, jest to niemożliwe.

- Jeśli to kolejny pański podstęp, aby mnie zmusić do tego, na co nigdy nie wyrażę zgody, będę zmuszona stanowczo zaprotestować. - Markiz wydawał się bez reszty pochłonięty powozem, więc odczekawszy chwilę Rowena mówiła dalej: - Prosiłam dziadka, aby porozmawiał z panem, co jak przypuszczam, miał zamiar zrobić dzisiejszego popołudnia. Dziadek rozumie sytuację i zgadza się ze mną, iż w zaistniałych okolicznościach nie powinien pan dążyć do widywania się ze mną ani w jakikolwiek sposób interesować się moją rodziną!

- Czyżby twój dziadek was wszystkich miał zamiar wziąć pod swoje skrzydła?

To był ten rodzaj pytania, na które na ogół trudno odpowiedzieć. Pomyślała z goryczą, iż markiz doskonale wiedział, że hrabia Dunvegan nic nie mógł zrobić ani dla niej, ani dla jej rodzeństwa, jeśli nie miało to boleśnie zranić jej ojca.

- Zamiary mojego dziadka nie powinny pana interesować - oświadczyła. - Poza tym czekam na odpowiedź, milordzie. Dlaczego pan tu jest i dokąd mnie pan wiezie? Muszę być w domu przed czwartą.

- Obawiam się, że jednak się spóźnisz - odrzekł markiz.

- Ale... dlaczego? - Nagle zorientowała się, że zamiast skrócić w stronę Little Powick pojechali prosto do Swayneling Park. - Dokąd jedziemy? - zawołała. - Powiedziałam panu, że muszę być w domu przed czwartą. Żądam, aby pan natychmiast zawrócił konie i odwiózł mnie z powrotem.

- A jeśli tego nie zrobię? - zapytał markiz. Spojrzała na niego kątem oka. Zastanawiała się, czy nie wyskoczyć z faetonu. Uznała jednak, iż byłoby to poniżej jej godności. Poza tym mogłaby ulec wypadkowi.

Zagryzła wargi, czując narastającą złość. Cokolwiek by zrobiła, wyglądało na to, że znowu znalazła się w sytuacji, która raniła jej dumę. Ostatniego wieczoru ustaliła plan działania, który miał sprawić, że jej prześladowca przestanie być groźny, stanie się cichy i pokorny. A tymczasem okazało się, że jest jeszcze silniejszy i bardziej bezwzględny. Zwróciła uwagę, że jego twarz zdawała się dziwnie posępna, co - chociaż starała się nie dać tego po sobie poznać - onieśmiało ją i budziło lęk.

Ponownie pogrążyła się w myślach, podczas gdy konie wciąż pędziły w stronę rezydencji Swayne'ów. W pewnej chwili jak spod ziemi wyrosła przed nimi potężna brama z

kutego żelaza, prowadząca do Swayneling Park. Markiz gwałtownie w nią skręcił i wtedy tysiące niespokojnych myśli jak błyskawica przebiegło Rowenie przez głowę. Zastanawiała się, po co markiz wioził ją do swego domu. Czy chciał ją kompletnie oszołomić, tak jak to się już stało poprzednio, kiedy tą samą drogą jechała w towarzystwie Edwarda Lawsons? A może istniał jakiś inny, bardziej tajemniczy i niejasny dla niej powód?

Kiedy ujrzała ogromny pałac oświetlony promieniami słońca, które wszystkimi barwami tęczy jarzyły się w oknach frontonu, markiz skręcił w lewo, gdzie w odległej części parku wśród drzew znajdował się maleńki, sędziwy kościółek. Od głównej alei w bok prowadził wąski chodnik, którym dochodziło się do bramy wiodącej na niewielki przykościelny cmentarz pełen starych nagrobków.

Markiz zatrzymał konie i Sam natychmiast do nich podbiegł, a wtedy markiz rzucił mu wodze i zaczął ściągać rękawice jeździeckie. Po chwili odwrócił się w stronę Roweny. Jej ogromne oczy zdawały się jeszcze większe na tle niezwykle drobnej twarzy.

- Dlaczego mnie pan tu przywiózł? - wyszeptała.
- Aby cię poślubić!

Rozdział 7

Przez długą chwilę Rowena nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Nigdy za pana nie wyjdę! - zawołała. - Nic nie może mnie... do tego skłonić!

Zauważyła, że jej słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia.

- Jest oczywiście alternatywa - powiedział, a ton jego głosu, był cichy i spokojny:

- Jaka?

- Jeśli odmówisz poślubienia mnie, zabiorę cię do mojego domu i przetrzymam w nim, powiedzmy tydzień, po czym zawiadomię twojego ojca i dziadka, gdzie jesteś. Przekonasz się, iż obydwaj zrobią to, co w tej sytuacji najlepsze: namówią cię, abyś została moją żoną.

Kiedy Rowena zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć, dosłownie dech zapało jej w piersiach.

- Nie może pan... zrobić mi... tego! - wykrztusiła.

- Mogę i zrobię! - oświadczył markiz.

Spojrzała na niego wyzywająco i wtedy zauważyła, że chociaż mówił w sposób tak kategoryczny, to jednak jego oczy wyrażały coś zupełnie innego. Na przekór sobie, na przekór wszystkim obietnicom, że nie pozwoli, aby ten człowiek miał nad nią władzę, poczuła przyspieszone bicie swego serca i dobrze wiedziała, co to oznaczało.

- Wybór należy do ciebie, moja droga. Musisz się jednak na coś zdecydować.

Zrozpaczona Rowena usiłowała coś wymyślić. Mogłaby spróbować uciec, ale na pewno by się jej to nie udało. Poza tym nie chciała, aby Sam był świadkiem podobnej sceny. Jednocześnie zdawała sobie sprawę, iż z chwilą, gdy dotrą do Swayneling Park, nie będzie już dla niej ratunku. Służba z pewnością jej nie pomoże, a poza tym gdzieś w głębi czuła, że

po tygodniu przebywania z markizem sam na sam, nie potrafi odmówić mu tego, czego od niej żąda, bez względu na to, czy będzie jego żoną, czy nie.

„Kocham go! - pomyślała z rozpaczą - a jednocześnie nienawidzę za to, jak ze mną postępuje”.

Konie niespokojnie się poruszyły i stało się tak, jakby to one, a nie markiz wpłynęły na jej decyzję.

- Dobrze, wyjdę za... ciebie - wyszeptała.

- Byłem tego pewien - usłyszała w odpowiedzi.

Wyskoczył szybko z powozu, by pomóc jej wysiąść. Pomyślała, że chociaż na chwilę mógłby ją objąć, ale jego ręce dotknęły jedynie jej talii, a kiedy otworzył prowadzącą na teren przykościelny bramę, podał jej po prostu ramię. Rowena czuła się jak we śnie. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Wąską ścieżką doszli do kościoła, minęli przedsionek i znaleźli się w środku. Kościół był maleńki, cichy, chłodny i dosyć mroczny. Na ołtarzu paliło się sześć świec, a tuż obok w białej komży, najwidoczniej czekając na nich, stał stary kapłan. Dookoła unosił się intensywny zapach lilii. Zdecydowane kroki markiza echem niosły się po kościelnej nawie, podczas gdy Roweny wydawały się lekkie i jakby trochę niepewne. Kiedy zbliżyli się do ołtarza, pastor otworzył Pismo Święte i ceremonia się zaczęła. Rowena wysunęła rękę spod ramienia markiza i nagle poczuła się dziwnie samotnie. Ale po chwili markiz ujął palce jej dłoni i złe samopoczucie natychmiast minęło.

Dreszcz wstrząsnął jej ciałem, kiedy markiz uroczystym głosem zaczął powtarzać słowa przysięgi: „Będę z tobą zawsze, na dobre i złe, w bogactwie i biedzie, w chorobie i zdrowiu, w miłości i szczęściu, aż śmierć nas rozłączy”.

Pomyślała, że zawsze tego pragnęła, mimo to czuła, że na jej szczęściu spoczywać będzie cień, którego nikt nigdy nie

usunie. Tylko dzięki dziadkowi się pobrali. Gdyby nie zwróciła się do niego o pomoc, markiz nie zmieniłby decyzji i nie poprosił jej o rękę. Czowała, jak wsuwa jej obrączkę na palec. Zastanawiała się, skąd wiedział, że będzie dobra. Teraz razem ukłękli i przyjęli od pastora błogosławieństwo.

„Niech Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty wam błogosławi, strzeże was i chroni...”

Rowena bezwiednie wsunęła rękę w dłoń markiza i natychmiast poczuła mocny uścisk jego palców. Byli małżeństwem. Należała do niego duchem i ciałem i nie było już od tego odwrotu. Przymknęła oczy, dziękując Bogu, iż pomimo tylu przeciwności, połączyli się na wieki. Kiedy markiz pomógł jej wstać, zorientowała się, że pastor już wyszedł i że w maleńkim, sennym kościółku zostali sami. Rowena spojrzała na swego męża i odniosła wrażenie, że w jego oczach widzi błysk triumfu. Było w nich coś jeszcze, ale nie potrafiła tego określić.

Po chwili wolno ruszyli nawą kościelną do wyjścia. Dookoła nich panowała kompletna cisza, ale Rowenie zdawało się, że słyszy anielskie chóry. Markiz pomógł jej wsiąść do faetonu i konie, czując bliskość stajni, ostro ruszyły. Jechali w milczeniu, czując, że słowa nie są im teraz potrzebne. Wszystko wokół zdawało się nierealne i Rowena miała wrażenie, że to, co się wydarzyło, też było tylko częścią snu.

Markiz z fantazją podjechał do frontowych drzwi, gdzie cała służba oczekiwała na młodą parę.

- Niech mi będzie wolno pogratulować jego lordowskiej mości oraz życzyć milady wszystkiego najlepszego - powiedział majordomus.

- Dziękuję, Newmanie. Roweno - rzekł markiz, zwracając się do mej po raz pierwszy od chwili wyjścia z kościoła - to

jest Newman, który służy w mojej rodzinie od trzydziestu lat. Nie dałbym sobie bez niego rady.

Rowena wyciągnęła rękę.

- Cała służba serdecznie panią wita w Swayneling Park, milady.

- Dziękuję.

- Jaśnie pani powinna nieco wypocząć przed kolacją - rzekł markiz. - Późno się położyliśmy spać ostatniej nocy, a podróż z Londynu była męcząca. Niech pani Mayfield zajmie się tym.

- Pani Mayfield czeka już na górze, milordzie - odrzekł Newman.

Markiz odprowadził Rowenę do schodów.

- Myślę, że potrzebujesz trochę snu. Przed ósmą z pewnością nie usiadziemy do stołu.

Podniósł do ust dłoń Roweny, która nagle zapragnęła się do niego przytulić i powiedzieć, że nie chce być teraz z panią Mayfield ani z kimkolwiek innym, tylko z nim. Poczowała się dziwnie smutna i zagubiona w tym natłoku zdarzeń. Jednak posłuszna jego woli, udała się schodami na górę, gdzie oczekiwała już na nią ochmistrzyni ubrana na czarno, z łańcuszkiem na klucze u pasa.

Skłoniła się głęboko przed Roweną, mówiąc:

- To dla nas wszystkich bardzo szczęśliwy dzień, milady. Od dawna pragniemy, aby jego lordowska mość sprowadził panią do Swayneling Park.

Rowena obudziła się i ze zdumieniem stwierdziła, że spała bardzo długo i że nic jej się nie śniło. Przeżycia ostatniego dnia bardzo ją wyczerpały, ale teraz czuła się już rześka i wypoczęta. Pomyślała o poranku spędzonym z dziadkiem tuż przed wyjazdem z Londynu. Ze zdumieniem uświadomiła sobie wtedy, iż istnieje między nimi więź, której nigdy się nie spodziewała, i że jakkolwiek będzie to trudne, chciałyby

znowu się z nim zobaczyć. Wiedziała jednak, że rozstanie jest nieuchronne. Musiał odejść z jej życia, pozostawiając tylko wspomnienie swej niezwyklej szlachetności i wspaniałomyślności.

Uczucia, które budził w niej markiz, były zupełnie inne. Odrzucała podstępny sposób, w jaki zmusił ją do małżeństwa, a jednocześnie nie mogła zagłuszyć w sobie radości, że jest jego żoną. Tak bardzo za nim tęskniła i płakała po nocach, każdy jej nerw wyrywał się do niego. I chociaż w końcu pobrali się, trudno jej było uwierzyć, że wszystkie cierpienia i rozterki ma już za sobą. A jednak - tak jak czuła to w kościele - cień, przesłaniający ich szczęście, jeszcze nie zniknął.

„Żeby nie wiem jak bardzo pragnął mnie dla mnie samej - pomyślała, leżąc w ogromnym pokoju, do którego zaprowadziła ją pani Mayfield - mnie to nie wystarczy”.

Pokojówki wniosły srebrną wannę i postawiły ją na dywaniku przed kominkiem. Rowena podziwiała wspaniałe malowidło na suficie przedstawiające Wenus w otoczeniu amorków. Zachwycała się rzeźbami i złoconymi meblami pochodzącymi, jak przypuszczała, z czasów panowania Karola II. Zauważyła, że łoże, na którym spoczywała, było ogromne i udrapowane zasłonami z niebieskiego jedwabiu ozdobionymi podwójnymi kokardami.

Rowena czuła się nieco zażenowana tym, co wokół niej się działo. Kiedy kąpiel była już gotowa, z przyjemnością zanurzyła się w wodzie pachnącej konwalia. Z wdzięcznością pomyślała o dziadku, dzięki któremu mogła znowu włożyć piękną suknię z pamiętnego przyjęcia w Carlton House.

Kiedy była już ubrana, spojrzała na swoje odbicie w lustrze i doszła do wniosku, że dziś w tej samej sukni wygląda zupełnie inaczej niż na przyjęciu u regenta. W jej ogromnych oczach pojawiło się coś, czego nigdy w nich nie widziała. To lęk przed nieznanym, pomyślała, i nieco obawy przed

markizem. Zawsze wydawał się jej taki władczy, a teraz kiedy został jej mężem, to wrażenie było jeszcze silniejsze. Pragnęła być przez niego podziwiana. Poprzedniego wieczoru jej szyję zdobiła kolia diamentowa i teraz miała wrażenie, jakby jej ubranie nie było kompletne.

- To bardzo piękna suknia, milady - powiedziała ochmistrzyni. - I wyjątkowo odpowiednia na dzień zaślubin. - Po chwili milczenia dodała: - Spodziewaliśmy się, że jego lordowska mość pewnego dnia wprowadzi do domu jakąś piękność, ale nie przypuszczaliśmy, że będzie to ktoś aż tak urodziwy jak pani, milady!

Jej słowa dodały Rowenie pewności siebie, której w tej chwili tak bardzo potrzebowała. Uśmiechnęła się do niej i z dumnie podniesioną głową wolno zeszła schodami na dół. Newman już czekał na nią w hallu i teraz wyprzedzając ją nieco, otworzył przed nią drzwi do salonu.

Był to najpiękniejszy pokój, jaki kiedykolwiek widziała, największą jego ozdobą było sześć ogromnych wychodzących na taras okien. Złote, z odcieniem czerwieni wieczorne słońce oświetlało pokój zasnuwając go jednocześnie cudowną różową mgiełką. Markiz stał w odległym końcu pokoju i wyglądał równie imponująco jak poprzedniego wieczoru, chociaż nie miał na piersi odznaczeń. Rowena ruszyła w jego kierunku, starając się iść wolno, mimo iż miała ochotę biec. Chciała przy nim być, chciała, aby ją przytulił i zapewnił, że to wszystko jest prawdą i że zawsze już będą razem.

- Wyglądasz prześlicznie! - zauważył i sposób, w jaki to powiedział, sprawił, iż Rowena się zarumieniła. Po chwili, wciąż patrząc na nią w zachwycie, dodał: - Wczoraj wieczorem miałaś na sobie klejnoty, których nie otrzymałaś ode mnie. To już nigdy się nie powtórzy. Pozwól, że wręcę ci ślubny prezent.

Trzymał w ręku pudełko, ale nie podał go jej, tylko cicho powiedział:

- Sam ci to założę.

Spojrzała w lustro wiszące nad kominkiem: markiz stanął tuż za nią. Nagle klejnot zamigotał w jego rękach, kiedy unosił go do góry, aby zawiesić na jej szyi. Przez chwilę stała bez ruchu, oślepiąca blaskiem. Dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że była to wspaniała kolia z diamentów w kształcie kwiatów. Wewnątrz płatków każdego kwiatka dodatkowo umieszczono ogromny niebieskobiały diament.

Wiedziała, że markiz czeka na jej reakcję, ale była tak oszołomiona, że dopiero po dłuższej chwili zdołała wykrztusić;

- To... jest cudowne! Dziękuję ci... bardzo dziękuję!

- Mam jeszcze coś dla ciebie - dodał markiz. - Coś, co chciałbym, żebyś zawsze nosiła, nawet jeśli tak się złożyło, iż nie było nam dane oficjalnie się zaręczyć. - Mówiąc to, ujął jej lewą rękę i wsunął na środkowy palec ogromny brylant otoczony kilkoma mniejszymi. Był tak olbrzymi, że jej dłoń zdawała się jeszcze bardziej krucha i delikatna.

Kiedy w oszołomieniu podziwiała wspaniały klejnot, drzwi otworzyły się.

- Podano do stołu, milady!

Rowena nie zdążyła podziękować markizowi i kiedy szli do jadalni, zastanawiała się, czyby go pocałowała, gdyby majordomus im nie przeszkodził.

Jadalnia nie była zbyt duża, co raczej ją zdziwiło. Dopiero później dowiedziała się, że z wielkiej sali korzystano wyłącznie wtedy, gdy podejmowano gości. Ta, w której w tej chwili się znajdowali, przeznaczona była wyłącznie do użytku domowników.

Na udekorowanym pięknymi białymi kwiatami stole stały naczynia ze złota, które, jak Rowena się domyślała, od

pokoleń należały do rodziny. Nie mogła nie myśleć o tym, iż gdyby nie świadomość związków łączących ją z hrabią Dunvegan czułaby, jak niewiele tu znaczy, ponieważ wszystko w tym domu przypominało o arystokratycznym pochodzeniu markiza. Nie sposób było nie dostrzec portretów rodzinnych wiszących w korytarzu i na ścianach salonu. Gdziekolwiek spojrzeła, zewsząd spoglądały na nią oczy przodków markiza. Nawet widniejące na srebrach stołowych herby kazały myśleć o minionych stuleciach, kiedy przodkowie markiza umieszczali je na liberii służby oraz na mieczach i proporcach, gdy szli do boju. Tak tym wszystkim była podekscytowana, że sądziła, iż nie zdoła niczego przełknąć. Ale wyborne potrawy, które służba wносиła kolejno na stół, szybko przywróciły jej apetyt. Napełniono szampanem kryształowe kielichy z monogramem markiza i kiedy po podaniu deseru służba opuściła pokój, markiz wznosił kielich do góry.

- Pragnę wypić toast za moją żonę - powiedział głębokim głosem. - Oby zawsze była ze mną szczęśliwa.

Rowena również podniosła swój kielich.

- Mam nadzieję... że zdołam... uczynić cię szczęśliwym.

Odrobina niepewności pojawiła się w jej głosie. Pomyślała, jak inaczej mógłby wyglądać ten wieczór, jeszcze tydzień temu, zanim pojechała do Londynu, aby w Carlton House spojrzeć mu prosto w oczy, i jak miała nadzieję, pokrzyżować mu plany.

Markiz, jakby intuicyjnie odgadując jej myśli, odstawił kielich i odsunawszy krzesło, powiedział:

- Muszę ci coś pokazać.

- A może najpierw chcesz odpocząć i w spokoju wypić swoje porto - zapytała Rowena.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie chcę, abyś mnie opuszczała ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości.

Bez słowa podniosła się i markiz otworzył przed nią drzwi, po czym razem wyszli z jadalni - Miała zamiar skrócić w prawo w kierunku salonu, ale markiz poprowadził ją wzdłuż szerokiego korytarza, który wiódł do lewego skrzydła.

Było tu mnóstwo rodzinnych portretów wiszących nad rzeźbami, stołami, francuskimi komodami i starymi skrzyniami, a od czasu do czasu pojawiał się proporzec zdobyty w bitwie przez któregoś ze Swayne'ów, czy miecz, który zapewne posiadał również swoją historię.

Kiedy Rowena weszła do środka, w pierwszej chwili pomyślała, że to biuro. Po czym spostrzegła dwóch mężczyzn, którzy podnieśli się na ich widok. Na ścianach wisiały oprawione manuskrypty, podobne do tych, które markiz przyniósł, aby pokazać Hermionie swoje drzewo genealogiczne.

- Dobry wieczór, panie Smythson - rzekł markiz do stojącego przy drzwiach mężczyzny.

- Dobry wieczór, milordzie.

- Chciałbym, aby pokazał pan milady, jak bardzo jest pan zaawansowany w pracy, którą, ostatnio panu zleciłem.

- Będę zaszczycony! - odrzekł pan Smythson. - Tak się składa, milordzie, że idzie mi szybciej, niż przewidywałem.

- Pan Smythson prowadzi badania nad genealogią rodziny Winsfordów - wyjaśnił markiz.

- Nie jestem zaskoczona, że nie potrzeba na to zbyt wiele czasu - zauważyła Rowena.

- Idąc śladem Winsforda z Huntington - z ożywieniem powiedział pan Smythson - gdzie, jak jego lordowska mość poinformował mnie, mieszkała rodzina jej wysokości, doszedłem do roku 1587!

Rowena nie kryjąc zdumienia spojrzała na sporządzony przez Smythsona szkic. Od jej ojca umieszczonego na samym

dole szkicu wyprowadzona była cała linia Winsfordów aż do Richarda Winsforda.

- Czy to możliwe?! - wykrzyknęła.

- Wiedziałem, że będziesz zaskoczona - rzekł markiz. - A pan Smythson jeszcze nie skończył. Ma przed sobą wiele pracy.

- Rzeczywiście, milordzie - przyznał Smythson. - Zatrudniłem kilka osób do poszukiwania potrzebnych nam informacji w bibliotekach i archiwach państwowych. Korzystamy również z innych źródeł, które powinny dostarczyć nam ciekawego materiału. - Po chwili zwrócił się do Roweny: - Obawiam się, milady, że będę miał kłopoty z ustaleniem panińskiego nazwiska pani matki. Rowena spojrzała na markiza.

- Wszystkie szczegóły przekażę panu jutro, panie Smythson - poinformował go markiz, po czym zaprowadził Rowenę w drugi koniec pokoju. - To jest pan Gaylord - rzekł - który pracuje ze mną od wielu lat. Jego sposób ilustrowania i iluminowania jest identyczny jak w starożytnych manuskryptach, które ci pokazywałem.

- Dziękuję panu, milordzie. - Pan Gaylord uśmiechnął się.

- Oto, nad czym pracuje teraz nasz artysta - rzekł markiz. - To moje drzewo genealogiczne, ponieważ jest bardzo długie, wymaga zwijania.

Tuż przy oknie na ogromnym dębowym stole Rowena ujrzała zwój, który miał przynajmniej sześć stóp długości. Zauważyła, że był przepięknie iluminowany miniaturami i ozdobnymi inicjałami do złudzenia przypominającymi średniowieczne.

- Zaczyna się, milady - wyjaśniał Gaylord - od hrabiny Etienne de Swayne, której wnuk służył w armii Wilhelma Zdobywcy, kiedy ten po opuszczeniu Normandii wylądował na naszym wybrzeżu.

Mówiąc to Gaylord pokazał nazwisko widniejące na samym szczycie drzewa. Następnie wolno się przesuwał przez linię Swayne'ów z Normandii aż do wieków średnich, od Tudorów aż do linii hanowerskiej. W końcu Rowena, podążając za przesuwaną się po manuskrypcie ręką Gaylorda, ujrzała nazwisko markiza w pełnym brzmieniu, umieszczone na samym dole zwoju: „Tarquin Alexander, 5th Marquis of Swayne”; a tuż obok jej własne nazwisko: „Rowena Mary Winsford”.

- Chcę, żeby pan powiedział jej wysokości, kiedy zwróciłem się do pana, panie Gaylord, aby dopisał pan jej nazwisko do tego drzewa - rzekł markiz. - Jestem pewien, że dokładnie to pan pamięta.

- Oczywiście, milordzie - odparł Gaylord. - To było trzy dni temu: 30 lipca, w przeddzień pańskiego wyjazdu do Londynu.

Rowena zamarła.

- Jest pan pewien, że było to właśnie wtedy? - zapytał markiz.

- Najzupełniej, milordzie! - odrzekł Gaylord, nieco zdziwiony. - Jak mógłbym tej daty nie zapamiętać? Bardzo byliśmy szczęśliwi, że jego lordowska mość zdecydował się wstąpić w związek małżeński.

- Dziękuję panu, panie Gaylord.

Markiz wziął Rowenę pod rękę i wyprowadził ją z pokoju. Kiedy w milczeniu ponownie szli długim korytarzem, Rowena z wrażenia wstrzymywała oddech. A więc miał zamiar ją poślubić, zanim dowiedział się o jej dziadku! Zmienił zdanie, ale nic jej o tym nie powiedział. Wyjechał, pozostawiając ją w przekonaniu, że nie jest jego godna i że krew jest ważniejsza niż miłość. Weszli do salonu i markiz zamknął za sobą drzwi. A kiedy Rowena podeszła do kominka, on stanął przy oknie jak wtedy, gdy ją pierwszy raz pocałował, odwrócony tyłem

do niej i zapatrzony w ogród. Zapanowała śmiertelna cisza. W końcu, kiedy czuła, że nie jest w stanie wydobyć z siebie ani słowa, markiz powiedział:

- Zwyciężyłem, ale mówiąc szczerze, to nie uważam tego za prawdziwe zwycięstwo.

Rowena zeszywniała. Przyszło jej na myśl, że może żałuje swej decyzji.

- Kiedy cię pocałowałem - ciągnął - powiedziałem ci, że czuję się tak, jakbym na szczycie góry odkrył nie znany nikomu kwiat. To, co czuliśmy do siebie, było tak doskonałe, tak niewiarygodne, że teraz zaczynam się bać.

- D - dlaczego? - Głos Roweny zabrzmiał jakoś dziwnie obco, nawet dla niej samej.

- Ponieważ przez własną głupotę nadepnałem na ten kwiat i być może go zniszczyłem.

Znowu zapadła cisza, po czym Rowena drżącym głosem powiedziała:

- D - dlaczego mi o tym..., nie powiedziałeś?

- Wydawało mi się, iż to nie jest właściwy moment. Cieszyłaś się, ze znalezienia Marka i twoje myśli były wyłącznie przy nim - odrzekł markiz. - Poza tym musiałem jechać do Londynu. Nie mogłem odrzucić zaproszenia regenta. - Zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej: - Ale miałem zamiar wrócić zaraz następnego dnia, aby formalnie i z zachowaniem właściwego ceremoniału, zapytać cię, czy uczynisz mi ten honor i zostaniesz moją żoną.

- Nie miałam... pojęcia, że... zmieniłeś... zdanie - wykrztusiła Rowena.

- Nie potrafię ci powiedzieć, co czułem, kiedy ci wyznałem, że nie mogę się z tobą ożenić - odrzekł markiz. - Przypuszczam, iż prawda jest taka, że właściwie nie znałem miłości, oczywiście tej prawdziwej. To uczucie mnie zaskoczyło i chociaż była to najpiękniejsza rzecz, jaka

kiedykolwiek mi się przydarzyła, nie potrafiłem od razu pokonać w sobie wszystkich uprzedzeń i konwenansów, w których zostałem wychowany.

- A jednak,, zmieniłeś... zdanie.

- To zasługa Marka.

- Marka?

- Gdy odchodziłaś od zmysłów, niepokojąc się o niego, nagle uświadomiłem sobie, że bardzo bym chciał, aby moja żona podobnie się zachowała, gdy jej własne dziecko znajdzie się w niebezpieczeństwie: twój i mój syn, Roweno. - Umilkł. - Byłem tak precyzyjny w swych planach na przyszłość i tak uparcie trwałem przy swoich przekonaniach, że nie pomyślałem, iż dzieci potrzebują miłości, która jest podstawą życia rodziny: miłości, którą rodzice do siebie czują. - Markiz wciągnął głęboko powietrze. - Wtedy zrozumiałem, dlaczego wszyscy jesteście tacy piękni, dlaczego zarówno ty, jak i cała twoja rodzina macie taki szlachetny charakter, i dlaczego Mark jest taki dzielny. On nie tylko uwielbia jazdę konną co wydaje mi się godne pochwały, ale ceni również niezależność. Jest to cecha, Roweno, którą chciałbym kiedyś widzieć u mojego syna.

Było coś w jego wzroku, co sprawiło, że w oczach Roweny pokazały się łzy. Markiz w słowach wyraził to, co ona w głębi duszy czuła zawsze. Jej rodzina przez całe życie otoczona była miłością, ponieważ jej rodzice bardzo się kochali.

- Kiedy zawiozłem was do domu, wróciłem tu - kontynuował markiz. - Poszedłem prosto do pana Gaylorda i poleciłem, aby dopisał twoje nazwisko do mojego drzewa genealogicznego. Jediną niewiadomą w tej całej sprawie była data naszego ślubu. Ale byłem zdecydowany, że powinien się on odbyć jak najszybciej po moim powrocie.

- Gdybyś... mi o tym... powiedział - wyszeptała Rowena.

Pomyślała o tym, jaka była niesprawiedliwa, jak bardzo do niego uprzedzona, gdy z pomocą swego dziadka chciała go wyrzucić ze swego życia.

- W Carlton House uświadomiłem sobie, że wszystko zaprzepaściłem - cicho powiedział markiz. - A ponieważ doskonale wiedziałem, co czujesz i myślisz, strasznie się bałem, że mogę cię na zawsze utracić. Oto dlaczego wróciłem tu wczesnym rankiem z Londynu i zaaranżowałem nasz ślub. - Rowena milczała, więc po chwili markiz zmienionym głosem dodał: - Straszliwie się bałem, że twój dziadek może cię przekonać, abyś z nim pojechała do Szkocji, albo że zechcesz w jakiś sposób się mnie pozbyć.

- To byłoby... niezmiernie trudne.

- Jak mogłem być pewien? Jak mogłem być pewien czegokolwiek poza tym, że bardzo cię pragnę? - Po chwili milczenia markiz głucho powiedział: - Roweno, czy nie utraciłem twojej miłości?

Rowena głęboko przeżywała każde jego słowo, dobrze rozumiała, jaki dramat rozgrywa się w sercu markiza: obawiał się, że ona odejdzie od niego, kiedy się przekona, iż jego miłość nie jest tym uczuciem, na które czekała i za którym tęskniła. Mimo że bardzo go kochała i nie chciała, aby nadal dręczyła go niepewność, wciąż jeszcze czuła się zbyt onieśmielona, aby zrobić jakiś gest czy cokolwiek powiedzieć.

Nagle bez słowa zbliżyła się do niego. Markiz wciąż stał przy oknie, zapatrzony gdzieś przed siebie.

- Jeśli... mnie pocałujesz - wyszeptała - może się... przekonamy, czy nasza miłość ciągle jest... taka wspaniała, jak była przedtem.

Odwrócił się, a w jego oczach ujrzała taki blask, jakby pochodził z głębi płonącego serca.

- Och, moja najdroższa, czy rzeczywiście pragniesz tego?

Spojrzała mu głęboko w oczy i żadne słowa nie były już potrzebne. Nie była pewna, czy to on ją do siebie przyciągnął, czy to ona wykonała pierwszy ruch, ale objął ją nagle i mocno do siebie przytulił. Jej wargi były miękkie i czekały na niego.

Złote promienie zachodzącego słońca oświetliły jej twarz, kiedy markiz patrzył na nią przez chwilę, po czym jego usta poszukały jej warg. Tylko przez ułamek sekundy bała się, że czar prysnął. Ale nieoczekiwanie szybko fala ciepła wróciła, przebiegła całe jej ciało, docierając przez gardło do ust, była jeszcze bardziej gwałtowna, jeszcze cudowniejsza i wspanialsza niż kiedykolwiek przedtem. Tęskniła za tymi doznaniem obawiając się, że już nigdy do niej nie wróci. W pewnym sensie były nawet jeszcze cudowniejsze, ponieważ obydwójce tyle przez te dni wycierpieli.

- Moja miłości! Moje szczęście! - wołał markiz. - Jesteś doskonałością, jesteś wszystkim, za czym kiedykolwiek tęskniłem i co nieomal utraciłem.

Jego głos łamał się i Rowena zadrżała pod wpływem emocji, które w niej obudził.

- Kocham... cię! - wyszeptała. - Kocham bardziej niż kiedykolwiek przedtem!

- Naprawdę tak czujesz? A więc mi wybaczasz?

- Nie mam ci... nic do wybaczenia. Mama mówiła, że kiedy spotkam mężczyznę, którego naprawdę... pokocham, to będzie moje przeznaczenie i nic na to nie poradzę.

Ramiona markiza objęły ją i przytuliły mocno.

- To los sprawił, że się spotkaliśmy, ale walczyliśmy z przeznaczeniem, i to było niewybaczalne. Mogłem cię utracić!

Rowena znowu usłyszała w jego głosie ból.

- Odnależliśmy... siebie nawzajem...

- Będę za to dziękować Bogu przez całe życie - rzekł markiz. - Jesteś moim największym skarbem, ukochana zono, i nie chcę więcej myśleć o tym, że mógłbym cię stracić.

- Nigdy... tak się... nie stanie - odparła Rowena. Teraz wiedziała, że nigdy nie mogłaby mu się zbyt długo opierać. Należała do niego od chwili, kiedy ją pierwszy raz pocałował, a właściwie jeszcze wcześniej: kiedy go po raz pierwszy ujrzała nieprzytomnego, leżącego przed drzwiami wejściowymi jej domu. Tyle mu chciała powiedzieć, o tylu sprawach porozmawiać i tyle z nim jeszcze przeżyć. Ale teraz pragnęła tylko jednego: aby znaleźć się w jego ramionach i znowu poczuć cudowny dreszcz, kiedy dotknie jej ust.

- Kocham... cię!

- Powiedz to jeszcze raz - rozkazał. - Muszę się przekonać, czy to prawda.

- Kocham... cię!

- Na zawsze?

- Na... zawsze.

- I ufasz mi?

- Wiesz... ze tak.

- Jesteś moja, moja. Będziesz przy mnie dzień i noc! Nigdy nie mogę cię stracić!

- Nigdy... to się... nie stanie!

- Jesteś pewna?

- Całkowicie... absolutnie... pewna.

Znowu spojrział na nią, tak jakby chciał jej piękną twarz utrwalić w swej pamięci na zawsze. Nagle jego usta spoczęły na jej wargach, czyniąc ją zupełnie bezwolną, całkowicie sobie poddaną, stanowiącą z nią jedno, tak jak tego pragnął od dawna.

Wiedziała, że zawsze będzie jej panem, a ona jego niewolnicą. Dumna była z jego siły, determinacji, a nawet zawziętości. Bez względu na to, jaki był, należał do niej, a ona do niego. To było przeznaczenie i żadne z nich nie widziało przed nim ucieczki.